

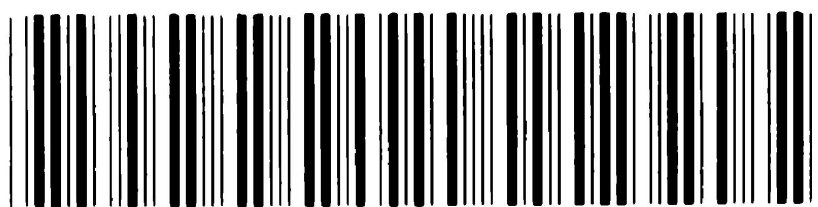
**STEFAN NAPIERSKI**

**POECI  
NIEMIECCY**

**II**

**W A R S Z A W A 1 9 3 7**

**Biblioteka Uniwersytecka KUL**



1000954415

# **POECI NIEMIECCY**

## BIBLIOTEKA KAMENY

- Nr. 1. SERGIUSZ JESIENIN: Wybór poezyj, przełożył K. A. Jaworski, 1931 r.
- Nr. 2. ALEKSANDER BŁOK: Ogród słowiczy i inne poezje, spolszczył K. A. Jaworski. Linoryty Zenona Waśniewskiego, 1934 r. (na wyczerpaniu).
- Nr. 3. SERGIUSZ JESIENIN: Spowiedź chuligana i inne poezje, spolszczył K. A. Jaworski. Linoryty Zenona Waśniewskiego, 1935 r.
- Nr. 4. A. BŁOK: Wiersze włoskie, spolszczyli Kazimierz Andrzej Jaworski i Józef Łobodowski. Linoryty Zenona Waśniewskiego, 1935 r.
- Nr. 5. STEFAN NAPIERSKI: Liryka niemiecka, 1936 r.
- Nr. 6. MIKOŁAJ GRONSKIJ: Belladonna, spolszczył K. A. Jaworski, 1936 r.
- Nr. 7. ZDZISŁAW POPOWSKI: Pieśni  
1936 r.
- Nr. 8. OLGA DAUKSZTA: Walet kierowy, 1937 r.
- Nr. 9. KAZ. AND. JAWORSKI: W połowie drogi, 1937.
- Nr. 10. JERZY KAM. WEINTRAUB: Próba powrotu.  
1937 r.

*S T E F A N N A P I E R S K I*

# POECI NIEMIECCY

*LIRYKI NIEMIECKIEJ*

*TOM II*

WARSZAWA 1937

SKŁAD GŁÓWNY TOWARZYSTWO WYDAWNICZE  
J. MORTKOWICZA W WARSZAWIE

**Katolicki Uniwersytet Lubelski**  
**Zakład Filozofii i Teologii**

Nr. 630B

**I**





POKRZEPIENIE

Pajęczynę z oczu odrzuć snów,  
Miła duszo, zbądź zgryzot i troski!  
Prędko rzeka przewija się znów,  
Na zwierciadle chmur, wokoło wioski:  
Nie przesącza się, nie przecieka,  
Na twój spokój czeka, człowieka,  
Stań nad strugą, jak omszały głaz,  
W wiekuiste sny mieni się czas.

Winorośli jeśli płacze plon,  
Zazieleni się pęd w złote owoce;  
Pozwól, niechaj skryta słodycz gron  
Zwleka, wzdraga się przez blask i noc.  
Kiedyś pęknie, jak serce, rzewnie  
I zawiśnie w blasku na drewnie:  
Nie kryj oczu, napróżność zbladł —  
Miła duszo, pokona cię świat.

# CLEMENS BRENTANO

## MUZYKA BEETHOVENA

Boże! Dłoń Twoja szarpie mnie za włosy,  
Ziemia porywa mnie w otchłanie piekła,  
Panie! jak serce otulę w niebiosy,  
Aby krew z piersi w czeluść nie wyciekła?  
Przeto błagam poprzez noc, i cieką  
Skargi moje, jak płomienia strugi,  
Które żaru zatrząskują wieko;  
Lecz pośrodku trwam, jak Twoje sługi,  
Archanioły, nad chmury daleko,  
Nim poranku młodego łuny  
W twarz i skronie uderzą Memnoną,  
Sennie w mosiądz uderzam i struny:  
Chwała dniowi! pustynio zielona.

# JOSEPH VON EICHENDORFF

## NABOŻNA PIEŚŃ

Oto jest, Panie! chwalebny blask,  
Który przez parne otchłanie  
Znużonej piersi, wodotrysk łask,  
Wybucha, jak chłodne granie.  
Otom swobodny! Kołuję wkrąg,  
Wydarty sennej czeluści —  
Zamykasz mnie w drażeniu rąk,  
Dłoń sroga już nie popuści.

## NOCĄ

Stałem w cienistym borze,  
U skraju wraz ze mną stój;  
Kraje, jak zmierzchu rogoże,  
Jak wstęga srebrzona zdrój.

Dzwony w podmuchu, noc czarna  
Plejady miota, jak klucz,  
Złękciona spojrziała sarna  
Dygotem domkniętych ócz.

Znów knieja rozchwiała czuby  
Nad sennem pustkowiem skał;  
Z uśmiechem kroczą cheruby  
Nad męką uśpionych ciał.

## NOC KSIĘŻYCOWA

Jakgdyby widna chmura  
W uśpieniu ziemię muska,  
Domyka, srebrnopióra,  
Nienasycone usta!

Wiew nad zagasłe niwy,  
Rozchwiany zagaj śniady.  
Sen kniei, poszmer żywy,  
Noc jasna i plejady.

Przez omroczone kraje  
Szybuje pokryjomu  
Dusza, i zmartwychwstaje  
W swym niezaznanym domu.

## WEZWANIE

Słuchaj drzew, jak w wielkim szumie  
Zataczają cichy krąg,  
Wabi nas w pradawnej dumie  
Patrząc wdół przez palce rąk,  
Gdzie strumienie dźwięczne jęczą  
Melodyjnie w lunny blask,  
Zamki zwisłe ponad tęczą  
Śledzą dna gładzony gładz.

Znasz w guślarskiej ty pomroce  
Z gruzów powstający śpiew,  
Gdy przez czarodziejskie noce  
Czuby rozkołysze drzew?

Liście senne, mrok zielony,  
Brzegiem bżowym krocysz w bród,  
W strachu szemrzą dziwożony —  
Stąp z poddasza w lśniący chłód.

## PO NOCY

Ponad osrebrzone wzgórza  
Blaskiem zdala zadygoce,  
Szmerem spoza drzew wynurza  
Miesiąc czarodziejskie noce.

Jest tak pięknie i łagodnie,  
Palec niebian gwiazdy toczy,  
Nuci tajny głos pogodnie —  
Ach! jak czujne śpiące oczy.

Nie gadajcie, głośnie strugi,  
Skryjcie zachwyt, żywe fale!  
Błogi pojęk, sen niedługi,  
Melodyjnym grzebią zalem.

## SAMOTNOŚĆ

Czyli słyszysz? grają strugi  
Pośród krzewów, ponad głaz,  
Między kwiaty pomrok długi,  
Biało jarzą się cherubi  
I samotność tuli nas.

Wzgórz zielenią w lśniące jary,  
Budząc sennie śpiew prastary,  
Stąpa czarnoksięska noc,  
Znów w parowach szemrzą czary,  
Snów zaklętych wieczna moc.

Kłaskające wieją skargi,  
Gada źródło, płocze wargi  
Leją szalej, błędny war,  
Gruzy dawne, sypkie piargi —  
Zstąpcie ze mną w cichy jar!

## POŻEGNANIE

Wąwozy i kotliny,  
Zielono-mgławcy bór,  
O, rdzawe jarzębiny,  
Jak zamyślony chór!  
Świat, wiecznie zadurzony,  
Miele wśród wartkich kół,  
Obym twój strop zielony  
Nad senną skronią czuł.

Gdy szaro wokół dnieje,  
Gleba paruje wkrąg,  
Ptak nuci poprzez knieję,  
I rosa lśni wśród łąk:  
Niech pierzcha w błędne kraje  
Pradawny, ziemski żal,  
Rusałka zmartwychwstaje,  
Jak blask porannych fal!

Porzucę wkrótce ciebie,  
Tam, gdzie się kończy jar,  
Na obcym śledzić niebie  
Widowisk smętnych czar;  
O, żegnaj mi, dolino,  
Twój liść i mrok i mech,  
Samotne dni popłyną,  
Gdy leśny zamrze dech.

# STEFAN GEORGE

## WYWOŁANY

Przedwczesne wszystko: piękno, wielkość, miłość,  
I chwała, zmysłem powzięte zbyt czujnym  
W igraszce. Tedy w życiu napotkane  
Wyblakłe zdały ci się, bardzo puste.

Przy drodze, rynku, słuchający z lękiem,  
By nie uronić najskrytszego drgnienia...  
Zakraść się w dusze wszelkie żądny, twoja  
Odłogiem spoczywała, nieuprawna.

Dzwoneczki, farby rzadkie i skorupy  
W tłum ślepy i zmacony pełną garścią  
Miotaleś. Sława zalewała usta...  
Lecz drgały szlochem tajnym — wpółzacięte.

Oczy biegają i wstyd je wypala,  
Jakby czytała cię źrenica czysta;  
Ozdobion przeto, lecz nie uświęcony,  
Ze zdartym wieńcem runąłeś na ławę.

## ZAPAŚNIK

Ramię — zdumienie i podziw — spoczywa  
Na prawem jego biodrze; słońce drga  
Migotem wzdłuż mocnego torsu oraz  
Spływa po skroni, zwieńczonej wawrzynem.  
Zwolna okrzyki falują zachwytu,



Prąc poprzez ciżbę gęstą, kiedy kroczy  
Gościńcem prostym, zielenią zasnutym.  
Niewiasty, dzieci unoszące wzwyż,  
Uczą imienia, by wołały głośno  
I powiewały kiścią palm ku niemu.  
Stąpa. Potężną stopą, jako lew,  
I srogo. Wreszcie, po latach bez chwały,  
Chłuba całego kraju, i nie widzi  
Tłumu w zachwycie, ni jak wznoszą dłoń  
Matka i ojciec, dumni. Tak przemija.

## DZIEŃ PASTERZA

Trzody stłoczone biegły z obór zimy.  
Ich młody piastun po długim czekaniu  
Napowrót ciągnął doliną w blask rzeki.  
Błonia zbudzone pozdrawiały znów.  
Niwu nućące go nawoływały.  
Lecz on uśmiechał się skrycie i stąpał,  
Przezuciem lotny, w gościńce wiośniane.  
Wsparty o kij wygięty, bród przesadził,  
Na tamtym brzegu wstrzymał się, gdzie złotość  
Szmernego nurtu, spod gruzów splókana,  
Wzrok zachwycała i postaci barwne  
I muszle tkliwe zwiastowały szczęście.  
Już nie dosłyszał, jak beczało jagnię,  
I kroczył w knieję, w jar, wiejący chłodem.  
Tam strugi strome padają wśród skał,  
Na które kapią mchy i, obnażone,  
Korzenie czarne buków trwają, sprzęgłe.  
W milczeniu i dygocie gęstych czubów  
Usnął, gdy słońce toczyło się wzwyż.  
A w wodach łuski wypryskały srebrne.

Zbudzony, piał się na grań i nadażył  
W święto pasterskie, w pochyłych odbłaskach.  
Wargi szeptały modlitwy, gdy wieńczył  
Skronie święconym liściem i w łagodnie  
Rozkołysane cienie pod obłokiem  
Już ciemniejącym wdarł się jasny śpiew.

## BÓSTWA POLNEGO ŻAŁOŚĆ

Tedy dziewczęta, które z wieńcem w splotach  
I z wieńcem w dłoniach pośród wiązków kroczą,  
Zatrują zmysły moje i odurzają.  
Z domostwa spokojnego, skrajem gaju,  
Zielone oraz barwne oglądałem  
Niwy, jak wznoszą się łagodnym zboczem,  
I ciernie w bieli okapują kwieciem:  
Gdy, drogą przemykając, mnie dojrzały.  
Szeptały skrycie na ucho i zwinnie,  
Ze śmiechem, mimo nawoływań, biegły.  
Mimo piszczałki mojej brzmień błagalnych.  
Dopiero, kiedy z płaskiej strugi pijąc,  
Ujrzałem ciebie z brózdami na czole,  
Z kudłami splątanemi, ach, pojałem,  
Co sobie z sykiem przez przestwór zwierzały,  
Co echem głośnem dudniło wśród skał.  
Tak przeminęła lubość. Już nie pragnę  
Nad stawem wędki zarzucać, fujarkę  
Zbyt słabą, polny flet dotykać palcem.  
Jeno zwieczora wśród mgieł popielatych  
Ku Panu Zbiorów wznosić muszę skargę,  
Iż nie użyczył pięknu — wieczystości.

Młodziutka ziemia, dziwem uśmiechniona,  
Jakby w jej pierwszy dzień... Piosnkę zdumioną  
O przebudzonych światach niesie podmuch,  
Prastarych turni przemienia się kształt  
I, jak w ogrodzie rajskim, wiew gałązki...  
Potok opryskał brzeg, srebro w dygocie  
Wchłonęło prochy pradziejowych lat,  
I dreszcz przebiega ziemię, łaski pełną.  
Patrz! stąpa każdy gościńcem, a czoło  
Zwieńczone stromą wzniosłością, jak liściem.  
W blasku spoczywa połoga dolina...  
Błogosławieni, którzy kroczą w światłość.

Duchu domowy, który wokół murów  
Straszysz, zapłodnień żądny, pod łukami  
Kulisz się, z gruzów wysysając szpik:  
Palce rozczapierz i muśnij skorupy.  
Prawie cielesny stał twój wizerunek:  
Z pilastrów złotych zwieszały się wieńce,  
Mosiężne misy dymiły na łożu  
Z purpury: sprzęgłe w uściskach wszetecznych  
Tułowia z bronzu, białe karki, uda  
Różowe; cicho i zwlekając, stopy  
Przez uchylone wkradły się podwoje...  
Wszelako zamilkł chór widmowy za dnia,  
Rozwiane zjawy: w przepychu omdlałe,  
Porozrzucane lubieżnie, tej Romy  
Członki — a króle ją i gachy gwałcą.

\*

\*

\*

Na mieście cichem krwawa trwała smuga.  
Oto z ciemności sunie nawałnica,  
Przez porywiste tchnienia słyhać kroki  
Gromady; głucho; poczem zbliska. Szczęki  
Żelazne... Groźby i zachwyty dźwięk.  
Trójdzielny głos metalów jasnych, wtedy  
Wściekłość i siła i dreszcz mię przeszyły,  
Jakgdyby płaski dziryt padł na czoło —  
Gwałtowny stukot gnał, gdzie kłusy zgrai...  
I coraz większe hufce i jednaki  
Ton przeraźliwych fanfar... Czyż ostatni  
To bunt nad krajem rozpasanych bóstw?

\*

\*

\*

Ogrodami szemrze szeptem  
Szare złoto, późny dzień.  
Zjawa muska, w blask zaśniona,  
Przędę letnią wokół czoła,  
Flet kołuje... tam, pod dachem,  
Brzmienia barwne wabią próżno,  
Słodko dyszą... Pospieszajcie!  
To jesieni mroczny śpiew.  
Który w piersi wam zadźwięczał,  
Głos zbudzony, rdzawy błysk.

\*

\*

\*

Powróciwszy z błogich krain,  
Brzegów morskich, strojnych w plony,  
Napotkałem cię w przedwiośnie...  
Obok białych pni brzozowych,

Smukły, w blasku obnażony,  
Gnieciesz stopą wczesną ruń...  
Jesteś młodem bóstwem niwy.  
Oko jasne, niezmroczone,  
Mocne węzły obu dłoni —  
Pierś pasterza, stromość nóg.  
O, tak, jesteś bóstwem brzasku.

Jest Rozblaskiem... kiedy błyska,  
Nie nakrywaj głowy chustą:  
Pała pożar krystaliczny,  
Zenit w gromach, jasny śmiech!  
Mrokiem jest i w sen porywa.  
W nurty, kędy dygocemy,  
Ślepi i durzeni... wiesz li,  
W jaką nas powiedzie noc?

Młodość tobie spłynęła, jak tan,  
Odurzona gra rogu i fletu?  
— Przywabiałem, Panie, synów jasnych,  
Błogość ludzką zaszczepiłem w pieśń,  
Prochem drogi zaproszyłem stopy.  
Dociekałem, czy znajdę ich w tobie...  
Dniem i nocą to jeno czyniłem.  
Póki życie odpominam własne:  
Ciebiem szukał przez rzekę i bród.

\*  
\*                      \*

Ktom ja, nie wiecie... to jeno odsłonię:  
Słów nie kształtuję jeszcze, służby ziemi,  
Tego, co czyni mnie człowiekiem... Oto  
Zbliża się pora, kiedy w kształt przeniknę.  
Przemieniam się, lecz głębszy rdzeń waruję,  
Wam niepodobien nigdy: kość rzucona.  
Tedy narwijcie gałązek, przynieście  
Fiołkowych wieńców, splecionych śmiertelnie,  
I czysty płomień ochraniajcie dłonią.  
Już inną drogą stąpam, dudni krok,  
Już jestem, czem pragnąłem. Tak was zegnám.  
W rozłące darząc tem, co mnie przystoi:  
Oddechem, który wzmoże krew i moc,  
Wargi dotknięciem, którem spłoną piersi.

## FRIEDRICH HEBBEL

### PEJZAŻ PAŹDZIERNIKOWY

Jesienny dzień przeźroczy! ledwo dech  
Powietrzem bławem wionie, widny wiew,  
Wszelako na murawę głuszą ech  
Owoc dorodny postukuje z drzew.

Nie mać przyrody błogiej! lśniący plon  
Musuje sokiem w dojrzewania czas;  
Gałęzi płodnych pochyłony skłon  
Spokojny promień trąca raz po raz.

### PIEŚŃ PO NOCY

Płynący, tryszczący mrok,  
Pełen gwiazd oraz blasku:  
Na plejad srebrnym piasku  
O, czyżże słyszysz tam krok?

Piersi ścieśniają się wkrąg,  
Życie wznoszone, schylone,  
Wieją wiatry zielone  
I płaczą osnowę rąk.

W sen czuwający ci lec  
Z czarodziejskiego koła,  
Muska pióro Anioła  
Cieniste trzepoty świec.

# FRIEDRICH HÖLDERLIN

## SMĘTARZ

Ustronie, młodą zieleniejesz trawą,  
Tu spoczywają cicho, stoją krzyże,  
Tam przyjaciół kroczą mogił bliżej,  
Gdzie okna są, lśniące ponad murawą.

Gdy niebios lśni nad tobą lampa stroma,  
W południe, kiedy wiosna się przechadza,  
Gdy duchów chmura tam, ta tucza niewidoma,  
Gdy dzień łagodnie wzwyż obłoki rozprowadza,

Jak cicho jest przy owym szarym murze,  
Nad który drzewo gałęzmi się chyli;  
Czarny, zroszony liść w żałobnej chmurze,  
Owoce rozłożone pięknie w każdej chwili.

W kościółku tam jest mrok, szeleszczą deszcze,  
A ołtarz lśni tej nocy bardzo nikle,  
Są inne jeszcze rzeczy, tak jak zwykle,  
Ale na polach latem syczą świerszcze.

Gdy wokół kto, jak pastor mówi, słyszy,  
A orszak druhów wokół słucha skrycie,  
Ci, co wśród zmarłych są, jak dziwne życie,  
I jakież duch szybuje na tej ciszy.



## CHLEB I WINO

Wokoło miasto spoczywa; cichnie w blaskach zaulek,  
I strojne w żagwie pojazdy suną w oddal i mrok.  
Do progu domów wracają ludzie, by zaznać spoczynku,  
Głowę w zadumie pochyła życiem rojący się dzień.  
Niech do świetlicy wkroczy; z kwiatów plac wymieciono,  
Wyzbył się dzieł człowieka ruchliwy do zmierzchu targ.  
Lecz zdala struny zadźwiękły; być może w alei  
Przyzywa miłość najrzewniej, albo samotny człek  
Wspomina druhów dalekich, młodość minioną; a źródła  
Szumią, wiecznie tryskając ponad pachnący klomb...  
Na ciemniejącym powiewie targane unoszą się dzwony,  
I pomna godzin przednocnych „wer-da?” zawoła straż.  
Oto zbliża się podmuch, w dygocie drzewa prostuje,  
Spójrz! widmo ziemi zamarłej, luna, żegluję przez mrok  
Skrycie, jak żagiel tajny; i noc nadchodzi marząca,  
Niezatroskana o nas, a pełna dalekich gwiazd.  
Rozbłysła, młodo zdumiona, ludziom obca na zawsze,  
Żalosa się toczy, wspaniała, ponad wierzchołki wzgórz.

ZLECENIE

Zawieście, druchy, gdy w cień się obleknę,  
Tę harfę drobną, tuż poza ołtarzem,  
Kędy na ścianie wianuszki śmiertelne  
Niejednej z dziewcząt błyskają umarłych.

Odźwierny wonczas wskaże podróżnemu  
Tę harfę drobną, zaszeleści wstęgą,  
Która przychylną czerwienią się wije  
I u złoconych strun płócho dygoce.

Zdumiony gada: często brzmia o zmierzchu  
Struny, trącone skąd? jak pszczoły senne;  
Dzieci zwabione biegną pośród krzewów  
I nasłuchują, rozchyliwszy wargi.

# *GOTTFRIED KELLER*

## WIECZÓR NA GOLGOCIE

Wieniec z cierni na piersi skłoniwszy, skonał Zbawiciel,  
Białawo w podmuchu zmierzchowym błyskał ramion skłon;  
Popatrz, lśnieniem rosy zwabiona, sfrunęła wiwilga  
Chyboce skrzydłami, by spocząć, gdzie ciężki zawisł krzyż.  
Zwolna pióra muskała, ledwo złożyła jedwabne,  
Rozchyliła na nowo i w mroczną wzlatuje noc.  
Samotny nie został jej Stwórca, Ta, którą obrał za matkę,  
Trwała u krzyża podnóża, ramieniem objąwszy słup.

## JUSTINIUS KERNER

### WĘDROWIEC U TARTAKU

U brzegu, na głębinie,  
Patrzę, wychylon wpół,  
Jak woda, warcząc, płynie  
Pod szumy wartkich kół.

Wlepiłem jasne oczy,  
Zstąpiwszy z mrocznych gór;  
Gdzie piła sosnę toczy  
Na miał, na drwa, na wiór.

Gdzie wiotkie drżało drewno,  
Urzekający ton  
Żalobę nucił śpiewną  
Pod zmierzchający skłon:

W znaczonej ty godzi ,  
Wędrowcze, będziesz śnił,  
Dla ciebie żywa płynie  
Żywica z suchych żył;

Dla ciebie to, dla ciebie  
Piana się musi wznieść,  
By w ziemi i na niebie  
Przetrwało desek sześć.

Patrz! klecim w świcie piły,  
Abyś nas, szorstkie, czuł.  
Widziałem. Napatrzyły  
Oczy się w szumie kół.

# FRIEDRICH KLOPSTOCK

## MŁODZIENIEC

Maj milczący oglądał zwieńczony  
W strudze srebrnej pukiel rozwiany;  
Kraśny wieniec barwił go świtanie,  
Gdy patrzył z uśmiechem łagodnym.

Nawałnica wściekła z gór wionęła;  
Jesion, smrek i dębczak opadły,  
Wraz z głazami zwałił się klon smukły  
Z szczytu wzgórz w łyskawic dygocie.  
Ponad źródłem, patrz! maj cicho drzemie;  
Nic mu gromy warczące w chmurach!  
Nasłuchiwał, spał, owiany kwieciem,  
Ledwo zbudził się z gwiazdą zmierzchu..

Nie odczuwasz ty jeszcze udręki,  
Gracje wioną, zefir kołysze;  
Powstań, wielki, w pancerzu nagości,  
Rychło kwiaty, młodzieńcze, zdepczesz..

## NIKOLAUS LENAU

### ŻAŁOBA NIEBIOS

Po twarzy niebios strwożona myśl płynie,  
Posepna chmura, tak mroczna, jak krew;  
Jak chory w nocnej zgryzoty godzinie,  
Tam i sam miota się w podmuchu krzew.

Po niebie grom się jak westchnienie toczy,  
Powieka ciemna mruga razporaz  
— Tak, gdy się na płacz zbiera, błyszczą oczy —  
Spod powiek zadrgał promień, znowu zgasł.

Lęgną się dreszczem w jadowitym tłumie  
Tumany, pełzną nad bagniska łąk;  
Niebiososa, drzemiąc w żałobnej zadumie,  
Słońce wybladłe wypuściły z rąk.

### SEN

Ktoś wyszedł nagle na spotkanie,  
Wzniósł dłonie do gwiazdzistych piast,  
Bym śledził ich okapywanie,  
Krople rozlane z lśniących gwiazd.

Uczułem w piersi drżącej głębi,  
Jak się przetacza boski grom,  
I lot znużonych w mrok gołębi,  
Które kołują ponad dom.

Wychylić kubek dla ochłody  
Do ostatecznych srebrnych den,  
By ziemskie zaspokoić głody —  
W siano się zwalić, w wonny sen.

Co upajało, oto wraca  
Raz jeszcze w wszystkich mrocznych snach,  
I grom raz jeszcze się przetacza  
Wraz z deszczem, który bębni w dach.

W stodole cicho gwiazdy lśniły,  
Przez szpary mokry pachniał bez,  
Tak pod murawą mej mogiły  
Odpoczną kiedyś w szumie łez.

### PIOSENKA Z WIECZORA

Na jeziora mrocznej toni  
Miesiąc wyczarował blask;  
Wieniec lilij płynie z dłoni,  
Rozpostartej dnem napłask.

Sarny kroczą nad stawidła,  
W oczeretach słycać krok;  
Szumią sennie lśniące skrzydła  
W tataraki, w mgłę i mrok.

Tuman łez przesłania oczy,  
Rozluźnione palce rąk,  
Niebo się gwiazdami toczy,  
Jak pęknięty nagle strąk.

# DETLEV VON LILIENCRON

## PEJZAŻE

### I

W zenicie słońce tli nad wrzosowiskiem,  
Z południa grozi czarny krąg.  
Kłosa w posusze zwisają rozbłyskiem,  
Motyl uderza w wonność łąk.

Pastuch zdrożony spoczywa i owce,  
Szemrze sitowiem senny brzeg,  
Cyranka wzłata gnuśnie nad manowce,  
W powietrzu parnem pruje ścieg.

Zygzakiem zadrgał błysk, prężne szarugi  
Lunęły z cebra, runął grom.  
Szaleje burza, płctnią smaga strugi,  
Ulewą zmywa biały dom.

### II

Jesienią jasną przez wonne uderza  
Opary czapla, piórem tnie.  
Jak cicho w boru! Rosa w kniei świeża,  
I krzyk zamiera nad nią w mgle.

Na białej brzozy ugiętej koronie  
Spoczywa sokół w lekkim śnie;  
Budzi się nagle i na wiotkim tronie  
Spogląda władczo w mgliste dnie.



Wieśniak siwiutki wolnym stąpa krokiem,  
Pchając ładowny torfem wóz.  
Wlecze się siwek gliniastym stokiem,  
Wybój, wioska; potknął się, zwiózł.

### III

Śniegowi słońce klejnotów użycza,  
lecz ach! jak nikła blasków gra.  
Skrapla się tuman, gaza tajemnicza  
nad glebą obumarłą drga.

Zając, dygotu kłębek, czuje życie,  
kiedy paruje łąki skłon;  
na skulonego kruki ostrzą skrycie.  
trzepocąc, niezawodny szpon.

Aż po dno czarne ścięły trzęsawiska  
mrozy, powlekły tafle wód.  
Niekiedy, w kniei martwej, słyszysz zbliska  
jęk sarny, którą dręczy głód.

# *FRIEDRICH VON MATTHISSON*

## VAUCLUSE

Oliwko, zieleniejąca samotnie, która na stromem,  
Mchami zarosłem, urwisku żalobnie się chylisz,  
Muśnij ochłodą oblicze, gdy skrami upału  
Tli się dzionek majowy.

Tu serce w spokoju spoczywa; złociste obrazy  
Z mroku toni przezroczej wychylają się w słońce,  
Dosłyszalne u strugi kołysze się skrzydło ciche  
Zjaw południowo błogich.

Ulećcie, rojenia przyszłości! W mgły się roztopcie,  
Nietrwałe cienie widmowego mijania!  
Jeno jedna Lety kropelka, a Psyche  
Zadygoce w rozkoszy.

## CONRAD FERDINAND MEYER

### ŁYSKANIE

Stąpałem w noc wiosenną, w zbladły ogród.  
Wiły się pierwsze błyskawice widno.  
Pałało młode kwiecie barwą ognia  
I blakło znowu. Cudne widowisko,  
Co zapierało dech! Wtedy cię ujrzał  
Z gałęzią okwieconą igrająca,  
Umarła, młoda na zawsze! Przez prąd  
Cofającego się czasu, w przebłysku  
Niebiańskich ogni ciebie rozpoznałem.  
Purpurą obleczone, jako ongi,  
Stałaś, przelękała pierwszym słowem czułem,  
Nieujarzmiona, patrz! umykająca!  
Poczem z kwiatami zblakłaś. I wciąż bledniesz

### SZMERY PONOCNE

Przywiej mi ponocne szmery, Muzo,  
Które płyną do uszu bezsennych!  
Naprzód miłe czujnych psów warczenie,  
Poczem równe dzwonienia zegarów,  
Poczem szepty rybackie u brzegu,  
Poczem? Jeno niepewną i mglistą  
Duchów wrzawę w ciszy niezmaconej,  
Jako oddech wznoszącej się piersi,  
Jak szemranie źródła niezgłębione,  
Jak plusk wiosel, głuchy i milknący,  
I bezgłośnie stąpanie snów lekkich.

## NAWAŁNICA

Raptowny grom. Wóz drabiniasty drży.  
Z wiązanych snopów oślepi skaczą dziewczki  
I z wielkim wrzaskiem biegną w noc. Znów grom.  
Na snopie, który miga złotem, stromo  
Harda dziewczyna stoi z rozplecionym  
Włosem, co kark jej smaga, jako pletnia.  
Szklenicę pełną wznosi nagie ramię,  
Jakgdyby haustem wychylić pragnęła  
Blask, co biczuje. Połyka i miota  
W mrok, wdał od siebie, w kotłowisko wiru.  
Błyska się. Czarne się wspięły rumaki.  
Bicz trzaska. Jak poniosło! Wdali migot

## ZORZA WIECZORNA W BORU

Ach! umknąłem w powiew kniei,  
Jak na śmierć zaszczuty zwierz,  
Gdy ostatni poblask zmierzchu  
Pnie w płomienny mieni kierz.

Leżę, dysząc. Tam, u skraju,  
Mech się krwawi, krzew i gład —  
Krew to z ran mych rozdrapanych,  
Czy się zorzy leje blask?

## *RAINER MARIA RILKE*

### ORFEUSZ, EURYDYKA, HERMES

I oto była dusz przedziwna sztolnia.  
Tu ciche rudy srebra przerywały  
żyłami pomrok. Między korzeniami  
wytryskiwała krew, co w ludzi wnika:  
jak porfir ciężka błyskała w ciemności.  
Poza nią nigdzie czerwieni.

Lecz skały

i knieje bezcielesne. Mosty ponad  
pustką i wielki, szary, ślepy staw,  
co zwisał ponad swem odległym dnem,  
jak niebios z deszczu skłon nad krajobrazem.  
A między łęgi, łagodnie-połogie,  
jedynej drogi bladawe pasemko  
wiodło jak płótno wyblakłe i długie.

I tym jedynym kroczyli gościńcem.

Na przedzie smukły, w zmierzchającym płaszczu,  
zamilkły, niecierpliwie wzrok wlepiając:  
krok żarł gości iec, nie żując, w olbrzymich  
łykach; a dłonie zwisały tak ciężkie,  
zawarte w sobie, z fałd sutych wynikłe,  
nic nie wiedzące już o lirze lekkiej,  
co wrosła w lewą dłoń, jak dziczka róży,  
niebacznie w konar oliwki wszczepiona.  
A zmysły, rzekłbyś, były rozdwojone:  
wzrok czujny przed nim, jako pies, wybiegał,

zawracał, znowu biegł i oto zdala,  
czekając pilnie, stawał na rozstaju —  
wtedy słuch jego, jak woń, wtyle zwlekał.  
Niekiedy zdało mu się, że dosięga  
tamtych obojga stąpań, którzy mieli  
kroczyć tuż za nim i nieprędko spocząć.  
Poczem to jeno odgłos własnych kroków  
i płaszcza podmuch był, rozwiany za nim.  
Lecz wmawiał w siebie, że przecie nadażą;  
gadał tak głośno i słuchał, jak brzmi.  
Nadejdą, idą z pewnością, tych dwoje,  
okropnie cicho kroczący. Raz gdyby  
zlekka odwrócić było wolno głowę  
(gdyby zerknięcie nie było zburzeniem  
dzieła, co snuło się, jak senna przedza):  
zoczyłby chyba ich dwoje, najcichszych,  
ujrzał, jak kroczą milcząc i w spokoju.  
Bóstwo stąpania i dalekiej wieści,  
z kapucą ponad jasnymi oczyma,  
przed sobą unoszące smukły kij  
i trzepocące u stopy lotkami;  
u lewej dłoni współuległa: *ona*.  
Tak miłowana, iż z dygotu liry  
większy się uniósł żal, niż wznoszą płaczki  
iż wzniósł się świat okrągły żalu, w którym  
raz jeszcze wszystko było: bór i błoń,  
gościniec, sioło, struga oraz zwierzę;  
i że wokoło tego świata żalu,  
tak samo, jak wokoło tamtej ziemi,  
słońce toczyło się i skłon gwiazdzisty,  
niebiosa żalu, szłochu gwiazdozbiory:  
tak ukochana.  
U bóstwa dłoni wszelako stąpała:  
krok skrępowany przez chusty grobowe.

niepewnie, słodko, bez niecierpliwości.  
Rosła w niej stromo wysoka nadzieja  
i nie myślała o tym, co szedł przodem,  
ni o gościńcu, który piał się w życie.  
Była schowana w sobie, utulona,  
i wypełniona umarciem po usta.  
Jak owoc, krągły słodyczą i mrokiem,  
tak wypełniona wielką oną śmiercią,  
co nadto była nowa, by ją pojąć.

Trwała jakoby w nowej dziewczęcości,  
niedotykalna; a jej płeć zawarta,  
jako kwiat młody, chylący się w wieczór;  
odwykła tak od palców oblubieńca,  
iż nawet bóstwa najłżejsze dotknięcie,  
które ją wiodło bezmiernie spokojnie,  
mogło kaleczyć: nadto poufałe.

Nie była już tą kobietą o splotach  
złocistych, którą zatrzymywał w słowach,  
ni łoża wonią o zmierzchu, niczyją  
odtąd własnością nie była, ni jego.  
I już rozwiana, niby smuga włosów,  
podatna przestworowi, jako deszcze,  
porozdzielana wszystkim sprawiedliwie.  
Korzeniem spoczywała już. Gdy raptem  
wstrzymał ją bóg i, tłumiąc boleść, wyrzekł  
nieodwołalne słowa: przecie spojrział —  
to nie pojęła nic, szepnęła: kto?

Lecz zdala, ciemny u pieczary skraju,  
stał ktoś z obliczem, którego niesposób  
było rozpoznać. Stojąc, wypatrywał,  
jak, rzekłbyś, pasmem wpółomglonych łęgów

z wejrzeniem skrytem bóg dalekiej wieści  
odwrócił się, milczący, aby stąpać  
za tą postacią, co kroczyła drogą  
powrotną, w długie skrępowana chusty,  
niepewnie, słodko, bez niecierpliwości.

## TRYLOGJA HISZPAŃSKA

### I

Z tej chmury, popatrz, która wielką gwiazdę  
przesłania strzępem (i przesłania mnie),  
z tego wzgórz pasma, które teraz noc,  
wichury nocne ma na pewien czas,  
z rzeki w kotlinie, która łowi poblask  
zszarpanej niebios polany (i mnie);  
ze mnie, z wszystkiego tego, jeden przedmiot  
ulepić, Panie: ze mnie i z uczucia,  
z jakim w zagrodzie natłoczone stado  
wielkie i mroczne zaniknięcie świata,  
dyszząc, przyjmuje; ze mnie oraz z światła  
w ciemnościach wielu domostw, wielki Panie:  
jeden ulepić przedmiot; z obcych wokół,  
albowiem nie znam ni jednego, Panie,  
ulepić jeden przedmiot; z owych śpiących,  
z starców w przytułku, co siadają w łózkach,  
kaszląc z chrypliwą powagą, z niemowląt,  
tulących się do piersi, rozespanych;  
z obcości tak zatartej oraz ze mnie,  
jedynie ze mnie, z tego, czego nie znam,  
ulepić przedmiot ów, o, Panie, Panie,  
przedmiot ziemisty, nadziemski meteor,  
co w swym ciężarze zwiera sumę lotu  
i waży jeno tyle, co przybycie.



## II

Czemu przed siebie stąpać, obce rzeczy  
tak dźwigać trzeba, jako może tragarz,  
co kosz jarmarczny, coraz wypełniany,  
z stopnia na stopień wznosi, obarczony  
kroczy i rzec nie zdoła: poco, Panie?

Czemu przystanąć trzeba, jako pasterz,  
tak nadmiarowi wpływu wręcz wydanym,  
udział mającym tak w przestworzu, pełnym  
działań, iż wesprzeć wystarczy się zlekka  
o drzewo, aby spełnić los, beczynnienie.  
A przecie niema w rozszerzonym oku  
łagodnych patrzeń trzody. Jeny świat,  
w każdym rozwarciu powiek świat i w każdym  
schyleniu głowy. Jeny to się wszczepia,  
co innych darzy własnością, niechętnie  
i ślepo w sedno krwi, jako muzyka.

I oto nocą trzeba wstać i krzyk  
ptaka, co sennie zadrgał, w czyste wchłonać  
istnienie; trzeba sprostać dziwnym męstwem  
gwiazdom, w rozwarte je przyjąć oblicze,  
podołać ciężarowi błysku — nie jak ów,  
co miłowanej noc tę przygotowuje  
i łagodnością rozpieszcza ją niebios.

## III

Niechby mi się przypomniał, gdy odnowa miast tłoczność  
i splątany supeł zgiełku i chaos  
pojazdów zaciągnie pętlicę, pojedynczo,  
niechbym ponad szczelne zawarcie  
okole niebios wspomniał i ziemisty stok wzgórza,  
który, wracając z wieczora, trzoda poryła.

Niechaj smak poczuje kamieni,  
niechaj zda mi się możliwy dzienny mozół pastucha,  
jak zwolna kroczy przed siebie, w burkę przybrany  
[brunatną,  
i trzodę zwołuje dokoła, gdy się stado wystrzępi.  
Rozważnym krokiem, przyciężko, zadumanem tułowiem,  
lecz w staniu jakże wspaniały! Mogłoby bóstwo skrycie  
przeniknąć w jego postawę, bynajmniej się nie  
[umniejszywszy.

Na zmianę spoczywa i stąpa, jak dzionek okolny,  
a cienie obłoków  
przesuwają się przezeń, jakgdyby przestwór myśli  
za niego powolne snuł.

Kimkolwiek miałby być dla was, jak światło, wiejące po nocy,  
pod płaszcz ochronny lampy, od wewnątrz w nim samym przystając.  
Poblask ucisza się w spokój. Śmierć  
z kształtem się czystym oswoi.

## DO HÖLDERLINA

Chwilę zatrzymać, nawet o to, co najbardziej spoufalone, ją  
[wsparty,  
nie nam jest dane; z wypełnionych uczuciem  
obrazów zbyt nagle opada duch do zaledwo przeczutyh; jeziora  
zaciekają w wieczność. Tutaj opadanie  
jest dziełem pilnem rąk naszych. Z wyuczonego uczucia  
opadać wdół, jak po tarasach, w widnokręgi mgliste

Tobie, wspaniały, tobie było, o, zaklinaczu, całe  
życie palącym obrazem, gdy wymawiałeś je wargą,  
zwierała się strofa, jak los, śmierć trwała  
w najłagodniejszej i wkraczałeś w jej wrota; ale  
kroczące przodem bóstwo wyprowadzało cię w blask.

O, ty, duchu przemienny, najprzemienniejszy! Jakże też wszyscy  
mieszkają w ciepłym domostwie wiersza i długo  
zwlekają w skąpem porównaniu. Udział biorący. Ty jeno  
jako księżyc suniesz. A wdole blaskiem lśni i się mroczy  
ponocny twój, w trwodze świętej stygnący krajobraz,  
który wyczuwasz rozstaniem. Nikt z ludzi  
nie ofiarował go wznioślej, nie oddał całości  
bardziej nienaruszonym, pokorniej. Podobnie  
igrałeś błogo poprzez nieprzeliczone lata  
w szczęściu bezkresnem, jakgdyby nie trwało ono we wnętrzu, nie  
[spoczywało,  
nieprzynależne nikomu, w łagodnej  
murawie ziemi, poniechane przez dzieci.  
Ach, czego pragną najwyżsi, mimowiednie składałeś,  
głaz budulca na głaz i stało. I nawet kiedy runęło,  
nie zatroskałeś się zbytnio.  
Czemu, gdy taki, wiekuisty, istniał, nieufnie oglądamy  
wszystko, co ziemskie, wciąż jeszcze? Zamiast  
na mijającym wyuczyć się uczuć, by sprostać  
czystym przyszłym przestworom?

## ZSTĄPIENIE CHRYSYTA DO PIEKIEŁ

Wreszcie wycierpiawszy, uszła istota Jego okropnemu  
ciału cierpień. U góry. Poniechała.  
A ciemność lękała się opuszczona  
i miotała o wycieńczoną bladość  
nietoperze, ciągle jeszcze dygoce z wieczora  
w ich trzepocie trwoga przed zderzeniem  
o wyziębłą udrękę. Mroczne w rozruchu powietrze  
wionęło wokół zewłoku; a w silnych  
czujnych nocy zwierzętach głucha trwała tępota.  
Odprawiony Duch Jego zamierzał, być może, o krajobraz się  
[wesprzeć.

bezczynny. Bowiem boleści  
zadosyć było. Pomierne  
zdało Mu się rzeczy ponocne trwanie,  
i, jako przestwór smętny, okolił wokrag ramieniem.  
Ziemia wszelako, wyschła w pragnieniu ran Jego,  
ziemia wszelako rozpękła, i wrzaskiem wołano w czeluści.  
On, znawca katuszy, słyszał piekła,  
skotłowane szlochem, domagające się wiedzy  
doskonalej Jego udręki: iżby poza zakończenie Jego  
(nieskończonej), ich otchłanna, trwająca męka trwożyła.  
I runął Duch ów, całkowitym ciężarem  
wycieńczenia swego poprzez wrzeciądze: kroczył jako spieszący  
poprzez zadziwione patrzyenie pasących się cieni,  
ku Adamowi wzrok podniósł, spiesznie,  
pomknął wdół, zanikał, jawił się i blaknął w rozdołach  
głębszych wiszarów. Nagle (wyżej, wyżej), nad środkiem  
spienionych krzyków, na długiej  
wieżycy męczeństwa wystąpił naprzód: bez tchu  
stał bez podparcia, dzierzyciel boleści, milcząc.

# ELEGJE DUINEZYJSKIE

## ELEGJA PIERWSZA

Któż, gdybym zawołał, mnieby zaiste usłyszał z anielskich ordynków? a gdyby nawet z nich który przycisnął mnie nagle do serca: zamarłbym pono od silniejszego jego istnienia. Piękno bowiem jest jeno grozy początkiem, który zaledwie jeszcze znosimy, a podziwiamy je tak, gdyż obojętnie pogardza zagładą naszą. Każdy jest anioł straszliwy. Tedy hamuję się i wabiącem się krztuszę wołaniem szłochu ciemnego. Ach, kimże potrafimy posiłkować się wreszcie? Nie aniołami, ni ludźmi a zwierzęta zmyślne postrzegają już, że się nie nazbyt czujemy bezpieczni w wykładanym świecie. Pozostanie nam może drzewo gdzieś nad urwiskiem, byśmy na nowo oglądali je codzień; zostaje droga wczorajsza i znarowiona wierność jakiegoś nawyku, któremu spodobało się u nas, został więc i nie odszedł. O i noc, noc, kiedy wichur pełen przestworu zżera nam twarz — komuż nie pozostałaby ona, upragniona, rozczarowująca łagodnie, która na serce odosobnionc znojnie wyczekuje? Czyż lżejsza jest miłującym? Ach, oni sobą tylko wzajem skrywają swój los. Czyż tego *jeszcze* nie wiesz? Pustkę swych ramion dorzuć do tych przestrzeni, które wdychamy; ptaki, być może rozszerzone powietrze odczują tkliwszym przelotem. Tak, wiosnom potrzebnyś był chyba. Niejedne gwiazdy wyczekiwały ciebie, abyś je przeczuł. Wzdęła się fala ku tobie w tem, co przeszło, lub,

kiedyś przechodził koło rozchylonego okna,  
skrzypce się oddawały. To wszystko było zleceniem.  
Lecz czyś podolał? Nie byłeś-że jeszcze  
wciąż oczekiwaniem rozpraszan, jakby zwiastować miało  
wszystko umiłowaną tobie? (Gdzież zamierzasz ją schronić,  
gdy przecie wielkie, obce myśli u ciebie  
wchodzą, wychodzą i często pozostają na nocleg).  
Jeśli zatęsknisz natomiast, miłujących śpiewaj; o wiele  
za mało wciąż nieśmiertelne jest chwały ich pełne uczucie.  
Owych, zazdrościsz im niemal, opuszczonych, których tak znacznie  
bardziej miłującymi znalazłeś, niż tych, co zaspokojeni. Poczynaj  
odnowa wciąż tę nigdy nieosiągalną pochwałę;  
pomnij: przetrwa bohater, zagłada nawet mu była  
wybiegiem jeno, by być: narodzeniem ostatnim.  
Lecz miłujących przyjmuje wyczerpana natura  
napowrót do siebie, jakby dwa razy nie stało jej sił,  
aby tego dokonać. Czyliś Gasparę Stampa  
wspominał dosyć, iżby jaka dziewczyna,  
którą kochanek odszedł, na wzmożonym przykładzie  
tej miłującej odczuła: niechaj się stanę jak ona?  
Czyż nie mają nam wreszcie te najstarsze cierpienia  
stać się żyznemi? Nie czas już byśmy, miłując,  
wyzwolili się od umiłowanego i, drżąc, mu sprostali:  
jak strzała wytrzymuje cięciwę, aby, skupiona w odskoku,  
czemś więcej być, niżli sama. Gdyż nigdzie niema spoczynienia.

Głosy, głosy. Posłuchaj, serce, jak dotąd  
święci jeno słyszeli: aż ich olbrzymi zew  
unosił ponad ziemię; oni wszelako klęczeli,  
ci niemożliwi, i nie zważali nań:  
*tak* byli słyszającymi. Nie, iżbyś Boga zniósł,  
choć w przybliżeniu, głos. Lecz tego, co wieje, posłuchaj,  
tej nieprzerwanej wieści, która się z ciszy kształtuje.  
Ona to teraz szumi od owych umarłych ku tobie.

Gdziekolwiek wstępowałaś, czyż nie zagadnął w kościołach,  
w Rzymie i Neapolu, spokojnie ciebie ich los?  
Lub napis jakiś dostojnie czy nie obarczył ciebie,  
jak ta płyta niedawno w Santa Maria Formosa?  
Czegóż pragną ode mnie? Leciutko wi ienem krzywdy  
odjąć im pozór, który ich duchów  
niekiedy czysty ruch nieco wstrzymuje.

Zapewne to osobliwe — nie zamieszkiwać już ziemi,  
wyuczonych za ledwie już nie używać wyrazów,  
rózom i innym przedziwnie obiecującym rzeczom  
znamienia ludzkiej przyszłości odtąd już nie nadawać;  
tem, czem się było w dłoniach tak nieskończenie trwożliwych,  
już nie być, a nawet własne swoje imię  
poniechać, jak połamaną zabawkę.

Dziwne — życzeń nie życzyć już dalej. Dziwne —  
wszystko, co było w związku, tak luźno w przestrzeni  
ujrzeć roztrzepotane. A być umarłym — to mózół  
i pełen nadrabiania, aby pomалу conieco  
wyczuć wieczności. — Popołniają bowiem żyjący  
wszyscy ten jeden błąd, że odróżniają zbyt mocno.  
Pono anioły nie wiedzą często, czy pośród  
żyjących kroczą, czy też umarłych. Prąd wiekuisty  
pokolenia wszystkie przez oba porywa obręby  
zawsze za sobą oraz ogłusza je w obu.

Wreszcie nie potrzebują nas już ci, co wcześniej odeszli,  
z ziemskości wyrasta się błogo, jak się od piersi  
matki łagodnie odwyka. Ale my, którym tak wielkich  
trzeba tajemnic, którym z żałoby tak często  
szczęsny postęp kiełkuje: — *zdołalibyśmy* być bez nich?  
Jestże nadarmo legenda, że po Linosie w żalach  
ongi ośmielającą się pierwsza muzyka jałowość oschłą przenikła,

iz w zalęknionej dopiero przestrzeni, z której boski nieomal  
[młodzieniec  
nagle wystąpił na zawsze, zachybotła pustka  
owem drgnieniem, które porywa nas teraz, wspomaga i koi.

## ELEGJA DRUGA

Straszliwy każdy jest Anioł. A jednak mi biada,  
jeśli zaśpiewam ku wam, duszy nieomal śmiertelne  
ptaki, wiedzący o was. Gdzież dnie Tobjaszowe odeszły,  
gdy z najpromienniejszych jeden u prostych odrzwi przystanął  
do drogi ieco przebrany, bynajmniej już nie okropny;  
(młodzieńcowi młodzieniec, gdy ów ciekawie wyglądał).  
Gdyby wystąpił Archanioł, ten niebezpieczny, teraz  
o jeden choć krok spoza gwiazd wdół ku nam: bijące  
wgórze nas własne zabiłoby serce. Kimże jesteście?

Wcześniej udani, o wy, pieszczochy istnienia,  
łańcuchy górne, jutrzenkowe granie  
wszechstworzenia — płateczki kwitnącego bóstwa,  
przeguby światłości, krużganki, stopnie, trony,  
przeźwienie z istnień, tarcze z błogości, zmaczenia  
burzliwie zachwyconego uczucia i nagle, z osobna,  
zwierciadła, które własną upływającą urodę  
napowrót czerpią w swe własne oblicze.

My bowiem, gdziekolwiek czujemy, ulatniamy; ach, my  
wydechamy siebie i w przestrzeń; z ogniska w ognisko  
coraz słabszą dajemy woń. Ot, bywa, powie nam ktoś:  
tak jest, ty w krew mi przenikasz; ten oto pokój, wiosna  
zapelnia się tobą... Cóż począć, on nie zdoła nas wstrzymać.  
w nim się tracimy i wokół. A owych, którzy są piękni,  
o, któż ich powstrzyma? Pozoru blask bezustannie



wstaje na twarzy ich i odchodzi. Jak rosa z trawy wczesnej, to, co nasze, oddziela się od nas, jak opar z gorącej strawy. O, uśmiech, dokąd? O, wzrok wzniesiony nowa, ciepła, umykająca fala serca — biada mi: jednak to *my*. Czyliż to nami wszechświat, w którym się rozpuszczamy, smakuje? Aniołyż chwytają zaprawdę to tylko, co ich jest, z nich wypłynione, czy też niekiedy, jakby przez nieuwagę, drobinka naszej istoty jest w tem? Czyli w ich rysy wmieszani tyle choćby jesteśmy, jak nieuchwytność w oblicza kobiet brzemiennych? Nie postrzegają tego w rozruchu ich powrotu do siebie. (I jakże miałyby spostrzec?).

Miłującyby mogli, gdyby umieli, w powietrzu nocy przemawiać dziwnie. Albowiem zda się, że wszystko zataja nas. Popatrz, są drzewa; te domy, które zamieszkujemy, trwają jeszcze. My tylko obok wszystkiego suniemy jako lotna wymiana. I jednoczy się wszystko, by nas przemilczeć napoły jak hańbę może, a wpół jak bezmierną nadzieję.

Miłujących was, poprzestających na sobie, zapytuję o nas. Chwytacie się. Macie dowody? Spójrzcie, zdarza się mi, że dłonie moje wzajemnie czują swe wnętrza, albo że moja zużyta twarz w nich się chroni. To daje mi trochę odczucia. Lecz ktoby odważył się przeto już być?

Was wszelako, którzy w zachwyceniu drugiego potęgujecie się, póki ów was, wzmożony, błagać nie pocznie: o *dość*; — wy, którzy pod palcami wielokrotnie się sobie, jak winne zbiory; którzy niekiedy nikniecie, przeto tylko, że drugi już całkowicie góruje: was pytam się o nas. Wiem,

dotykacie się błogo tak, gdyż pieśczoła wstrzymuje,  
bo nie zanika miejsce, które wy nakrywacie,  
najczulsi; albowiem trwanie czyste pod tem  
przeczuwacie. Tedy wieczność sobie obiecujecie nieomal  
z uścisku. A jednak, kiedy sproście  
trwodze pierwszego wejrzenia i tęsknocie przy oknie  
i wspólnej pierwszej przechadzce, raz jedyny przez ogród:  
miłujący, czyli nimi jeszcze wówczas jesteście? Gdy jedno  
k'ustom drugiego się dźwiga, przykład: napój z napojem,  
o, jakże — dziwnie pijący uchodzi temu działaniu.

Nie zadziwiał was na grobowcach attyckich ostrożność  
gestu ludzkiego? czyż miłość i pożegnanie  
nie były na barki złożone tak lekko, jakgdyby  
z innej substancji zrobione, niż u nas? O rękach wspomnijcie,  
jak bez nacisku spoczęły, gdy w torsach pręży się moc.  
Opanowani ci wiedzieli przez to: aż potąd  
jesteśmy, to nasze: tak się siebie dotykać; silniej  
o nas wspierają się bogi. Ale to bogów jest rzeczą.  
Oby odnaleźć i nam czystą, wąską, wstrzymaną  
człowieczość, jedno nasze żyzne ziemi pasemko pomiędzy  
ugorem a strugą. Gdyż własne nas serce przerasta  
ciągle jeszcze, jak tamtych. A nie zdołamy już  
śledzić za niem w obrazach, które je koją, ani  
w ciałach boskich, gdzie się ogromniej powściąga.

### ELEGJA TRZECIA

Jedno jest umiłowaną opiewać. Co innego, biada,  
'owo skryte występne rzeczne bóstwo krwi.  
Którego zdala ona rozpozna, swego młodziana, cóż wie on  
sam o tyranie rozkoszy, co z samotnego częstokroć,  
nim dziewczę go jeszcze ukoi, lub jakby jej wcale nie było,

ach, nierozpoznawalnym czemże ociekający, boski swój czerep  
wznosił, noc wyzywając do nieskończonego rozruchu.  
O, krwi Neptun, o, jego przerażający trójzęb.  
O, piersi wichr jego ciemny ze skręconej muszli.  
Słysz, jak się noc żłobi i sklepia. Nie od was-to, gwiazdy  
wywodzi się tęskność kochanka ku licom umiłowanej?  
Azali rzewnego wejrzenia  
w czystą jej twarz on nie ma z tej czystej konstelacji?

Nie ty mu, biada, nie matka jego  
brwi jego łuk tak na oczekiwanie napięła.  
Nie k'tobie, czujące go dziewczę, ku tobie nie,  
wygięła się warga jego do płodniejszego wyrazu.  
Naprawdę myślisz, że nim twoje leciutkie nadejście  
tak wstrząsnąć mogło, ty, co krocysz, jak wietrzyk poranny?  
Wprawdzie strwożyłaś mu serce; starsze wszelako trwogi  
zapadły w niego z łomotem przy owem lekkim dotknięciu.  
Wołaj go... niezupełnie wywołasz z obcowaniem ciemnego.  
Bezwątpienia, on *chce*, wydziera się; zbawion ciężaru, przywyka  
do serca twego tajnego i bierze i się zaczyna.  
Wszelako czyż począł się kiedykolwiek?  
Matko, *ty* uczyniłaś go małym, to tyś mu dała początek;  
tobie nowy on był, ty nad nowemi schylałaś  
oczami przyjazny świat a wzbraniałaś obcemu.  
Gdzież są te lata, ach gdzie, kiedy mu prosto  
smukłą postacią chaos przesłaniałaś wzburzony?  
Wiele ukryłaś mu tak; mrocznie wątpliwy pokój  
unieszkodliwiałaś, z serca, pełnego przystani,  
bardziej człowieczą przestrzeń w jego nocną przestrzeń mieszałaś.  
Nie w ciemność, nie, w bliższą twoją obecność  
lampkę nocną wstawiłaś — i jak z przyjaźni świeciła.  
Nigdzie chrobotu, którego z uśmiechembyś nie wyjaśniła,  
jakgdybyś oddawna wiedziała, *kiedy* posadzka zatrzeszczy...  
A on nasłuchiwał i koił się. Tak wiele zdołało

czułe twoje powstanie; spoza szafy wyniośle  
w płaszczu los jego stąpał, a do fałdów kotary  
przylegała przyszłość jego łatwozmienna i iespokojna.

A on sam, kiedy leżał, pozbawion ciężaru, pod  
zasypiającymi rzęsami twego lekkiego zarysu,  
słodycz rozpuszczając w smakowanym przedśnie: —  
zdał się strzeżony... Ale wewnątrz: kto bronił,  
hamował w środku jego pochodzenia dopływy?  
Ach, tedy w śpiącym ostrożności nie było; śpiący,  
ale śniący, ale w gorączce: jak się zapuszczał.  
On, ów nowy, trwożliwy, jak był usidlony  
w wewnętrznego stawania wciąż dalej szerzące się pnące,  
już splątane we wzory, w dławiające wzrastanie, w zwierzęco  
gnające formy. Jak się oddawał! — Miłował.  
Miłował wnętrze swoje, swego wnętrza knieje,  
tę puszcę nietkniętą w sobie, na której gruzach  
światlisto-zielone stało serce jego. Miłował, opuszczał je, poza  
własne korzenie wychodził w własny prapoczątek,  
gdzie drobne narodziny jego już były przeżyte. Miłując,  
w starszą krew się zapuszczał, w wąwozy,  
gdzie spoczywała groza, od ojców syta jeszcze. A każda  
straszliwość znała go, mrugała, jakby wtajemniczona.  
Tak jest, uśmiechała się przeraźliwość... (Rzadko  
tak uśmiechałaś się tkliwie ty, matko). Jakże  
miał jej nie kochać, gdy uśmiechała mu się. Przed tobą  
miłował ją, wówczas już bowiem, gdyś go nosiła,  
była roztopiona w wodzie ona, która lekkość kiełkującemu  
daje. Zważ, my nie miłujem, jak kwiaty, z głębi jednego  
jedynego roku; nam wzbiera, kiedy miłujem,  
niepamiętny sok w żyłach ramion. O dziewczę,  
to: że miłowaliśmy w nas nie jedno, nie przyszłe, tylko  
to, co bez liczby kipi, nie pojedyncze dziecię,  
jeno ojców, co jak zwaliska wzgórz

na dnie nas obciążają; jeno wyschłe łożysko  
dawnych macierzy — jeno ten cały  
bez ruchu krajobraz pod chmurnym albo  
czystym przeznaczeń skłonem: — to wyprzedziło cię, dziewczę.

A ty sama, cóż wiesz ty — wywabiłaś  
czas zamierzchły z głębi miłującego. Jakież uczucia  
przerznęły się na wierzch z przemienionych istnień. Jakie  
kobiety nienawidziły cię oto. Jakich mężów posępnych  
wzburzyłaś w użyłowaniu młodziana? Umarłe  
ku tobie garnęły się dzieci... O, lekko, lekko,  
pełń przed nim miły jakowyś, godny ufności trud dzienny —  
[wiedź go  
tuż wpobliżu ogrodu, daj mu nocy wielu  
przewagę... Wstrzymaj go...

### ELEGJA CZWARTA

O, drzewa życia, o, kiedyż zimowe?  
My nie jesteśmy zgodni. Ani,  
jak ptaki lotne, pouczeni. Prześcignieni, późni,  
znagła się oto wichrom narzucamy  
i wdół padamy na nieczuły staw.  
Kwitnąć i schnąć — to jednocześnie znamy.  
A ówdzie kroczą lwy jeszcze, nie wiedzą,  
póki wspaniałe są, nic o bezsile.

My wszakże, gdy coś zamierzym w całości,  
czego innego czujemy wnet opór. Wrogość  
— rzecz nam najbliższa. Czyż u tych krawędzi  
wciąż nie przystają kochający, jedno  
w drugim, co obiecali dal, łowy, ojczyznę.  
Oto dla jednej minuty rysunku

tło się kontrastu przysposabia, z trudem,  
byśmy ujrzeli je; bowiem wyraziście  
wielce się z nami obchodzą. Nie znamy zarysu  
czucia, to jeno, co się stwarza zzewnątrz.  
Któż przed kurtyną serca nie stał z lękiem?  
Ta się odsłania: scenerją — żegnanie.  
Łatwo to pojąć. Znajomy wirydarz,  
i lekko chwiał się: a potem wbiegł tancerz.  
Nie *ten*. O, dosyć. Choć lekkość udaje,  
przecie przebrany, i już jest mieszczuchem,  
który przez kuchnię wchodzi do mieszkania.  
Nie chcę tych masek nawpół wypełnionych,  
już raczej kukłę. Pełna jest. Chcę  
dźwignąć powłokę tę i drut i twarz jej,  
całą z wyglądu. Tutaj. Jestem przed tem.  
Jeśli zagasną lampy nawet, jeśli  
rzeczone będzie mi: nic więcej — jeśli  
ze sceny pustka wypełnie szarem wianiem,  
jeśli z spokojnych przodków moich żaden  
nie siądzie ze mną już, kobieta, ani  
chłopaczek ów o ciemnym zezie:  
Jednak zostanę. Zawsze jest się widzem.  
Nie mamże racji? Coś dla mnie tak gorzko  
życie smakował, kosztując moje, ojczy,  
najpierwszy mętny odlew mego musu,  
a, gdym podrastał, ciągle znów kosztując,  
i, tym posmakiem tak obcej przyszłości  
zatrudnion, wzrok mój badałeś zamglony —  
ojczy mój, który, odkąd zmarłeś, często  
w nadziei mojej, w głębi mnie, się trwożysz,  
i tę spokojność, jaką zmarli mają, bezmiary  
spokoju za mego odrobinę losu  
oddajesz, nie mamże racji? A wy, nie mam racji,  
coście kochali mnie za ów początek

nikły miłości ku wam, od którego zbaczał  
ciągle, gdyż przestrzeń w waszem mi obliczu,  
kiedym miłował ją, w przestrzeń wszechświata  
się przemieniała, gdzie już was nie było... Gdy tak jest mi,  
czekającemu przed sceną kukielek, nie,  
zapatrzonemu tak zupełnie, iż, by  
zrównoważyć me patrzenie wreszcie, trzeba,  
by tym aktorem był grającym  
Anioł, co wzwyż porwie kukły.

Anioł i kukła: wreszcie będzie dramat.  
Tedy się spoi, co my bezustannie  
rozpoławiamy, istniejąc. Tedy z pór się  
roku naszego dopiero wyłoni  
okrąg przemiany całej. A nad nami w górę  
Anioł zaigra. Zważ, umierający  
podejrzewają chyba, jak pozoru  
pełne jest wszystko, co tu dokonamy.  
Wszystko nie sobą samem jest. O, w dzieciństwie  
godziny, kiedy poza postaciami  
więcej niż tylko przeszłość trwała, a  
przed nami żadnej nie było przyszłości.  
Wprawdzie wzrastaliśmy, niekiedy nagłąc,  
by wydorosnąć wkrótce, tym w pół dogadzając,  
co nic nie mieli prócz swej dorosłości.  
A przecież byliśmy w odosobnionem  
naszem kroczeniu tem, co jednak przetrwa,  
rozradowani i staliśmy oto  
w przestrzeni między światem a igraszka,  
w miejscu, co było z samego początku  
już dla czystego stworzone przebiegu.

A kto ukaże dziecko tak jak stoi? Kto  
w śródgwieździu je postawi, da mu miarę

przedziału w dłoń? Kto urobi śmierć  
dziecka z szarego chleba, co twardnieje — lub  
w środku, w okrągłych ustach, ją zostawi,  
jak ćwierć pięknego jabłka?... zrozumieć  
morderców łatwo jest. Ale to: śmierć,  
w całości śmierć, jeszcze *przed* życiem tak  
słodko zawierać w sobie i złym nie być,  
to niewymowne.

## ELEGJA PIĄTA

Tak, lecz kimże są, powiedz mi, ci tułający się, jeszcze cokolwiek  
bardziej od nas samych uchodzący, których od świtu gnając  
nęka komuż to — komu gwoli  
nigdy niezaspokojony pęd? Wszakże nęka ich,  
ugina, mota oraz ich miota,  
podrzuca i chwyta napowrót; jak z naoliwionego  
gładszego powietrza opuszczając się wdół  
na wymięty, z ich wiekuistego  
odskoku cieńszy wciąż dywan, ten dywan  
zagubiony w wszechświecie.  
Nałożony jak plaster, jakgdyby podmiejskie  
niebiosa pokaleczyły tam ziemię.

I ledwie tam  
wyprostowany w pion, napokaz: samego stania  
pierwszy wielki i icjał... a już najsilniejszego  
chłopa toczy znów, żartem, ten wciąż  
powracający chwyt, jak August Mocny przy stole  
talerz cynowy.

Ach i wokół tego  
ośrodka: róża z przyglądających się:  
kwitnie i płatki roni. Wokół  
pręta, pręcika, własnym pyłem



kwitnącym dotknionego, zapłodnionego  
na nowo w owoc pozorny niechęci, tej  
nigdy nieświadomej siebie — gładziutko najcieńszą  
powierzchnią lekko napozór uś: iechniętej niechęci.

Tutaj, pofałdowany ten, zawiędły wspieracz,  
starzec, który już tylko werbel wybija,  
skurczony w swej skórze olbrzymiej, jakgdyby wprzód  
*dwóch* zawierała mężczyzn, a jeden  
na cmentarzu jużby spoczywał obecnie, a on przeżywał tamtego,  
ogłuchły i niekiedy cokolwiek  
błędny w opustoszałej skórze.

A ów młodzięczy, ów mąż, jakby synem jakiegoś był karku  
i zakonnicy: prężny i ściągłe wypełnion  
mięśniami oraz prostotą.

O, ją,  
która małe jeszcze podówczas cierpienie  
otrzymała dla zabawki w jednym z jego  
długich powrotów do zdrowia...

Ty, który z guzem,  
jaki owoce znają tylko, niedojrzały  
codzień sto razy opadasz z drzewa wspólnie  
zbudowanego ruchu (co, szybsze od wody, w niewielu  
minutach wiosnę ma, lato i jesień) —  
opadasz i o krawędź obijasz się grobu:  
niekiedy, w połowie pauzy, pragnie powstać  
dla ciebie miłe jakoweś oblicze w kierunku twej  
rzadko rozczulającej się matki; lecz o tve ciało rozbija się,  
co ją jak płaszczyznę zużywa, ta ledwo  
nieśmiało na próbę poczęta twarz widziadlana... I znów  
klaszczę mężczyzna w dłoń do odskoku, i jeszcze zanim

ból jaki wyraźny się stanie w pobliżu zawsze  
kłusującego serca, wyprzedza go,  
swoją przyczynę, stóp palenie kilkoma w oczy ci  
szybko wpędzonymi cielesnymi łzami.  
A mimo to, poomacku,  
uśmiech ten...

Aniele! o, weź, zerwij anemiczne to ziele lecznicze.  
Czarę stwórz i przechowaj. Postaw poniżej owych nam *jeszcze*  
nie rozwartych radości, we wdzięcznej urnie,  
sław je kwiecistym oraz polotnym nadpisem:  
„Subrisio Saltat“

Ty skolei, przymilna,  
ty, przez najśliczniejsze igraszki  
niemo przeskakiwana. Być może, dla ciebie  
frendzle są twoje szczęśliwe —  
albo ponad młodemi  
jędrnemi piersiami zielony jedwab z metalu  
nieskończenie się czuje pieszczony i mu na niczem nie zbywa,  
Ty, na równowagi chwiejące się szale  
za każdym razem inaczej  
ułożony owoc jarmarczny obojętności,  
jawnie poniżej ramion.

Gdzie, o gdzież jest to miejsce — noszę je w sercu —  
w którym wiele im jeszcze niedostawało, by *potrafili*, gdzie jeszcze  
odpadali od siebie, jak naskakujące na się, nieumiejtnie  
parzące się bestje; —  
gdzie jeszcze ciężkie są gwichty;  
gdzie jeszcze z ich daremnie  
wirujących pałeczek talerze  
staczają się...  
A nagle, w mozolnem tem „nigdzie“, nagle

to miejsce niewyrażalne, w którym się czysty *niedobór*  
niezrozumiałe przemienia — w ów przeskakuje  
pusty *nadmiar*.

Gdzie wieloszczebla drabina rachunku  
zrównana pada.

Place! o, placu w Paryżu, nieskończona scenerjo,  
na której modystka, Madame Lamort,  
nieukozone drogi ziemi, wstęgi bez końca,  
wije i zwija i z onych nowe  
węzły wymyśla, ozdóbki, kwiaty, kokardy, sztuczne owoce —  
[a wszystkie  
farbowane fałszywie — na tanie zimowe  
kapelusiki losu.

— — — — —  
Aniele: niechby był plac, którego nie wiemy, i tam to  
na dywanie nie do pojęcia ukazaliby miłujący, co tutaj  
do umiejętności nie doprowadzają przenigdy, swe nieulekłe  
podniebne figury rozkołysanego serca,  
swoje wieżycy z rozkoszy, swe  
zdawna, gdzie gruntu nigdy nie było, zaledwie o siebie  
wsparte drabiny, drząc — i *potrafiliby*,  
przed widzów kołem, przed tłumem niemych umarłych:  
czyżby rzucili oni ostatnie swe, zawsze oszczędzone,  
skrywane zawsze, których nie znamy, wieczyście  
wartość mające monety szczęścia przed wreszcie  
naprawdę uśmiechającą się parę na uciszonym  
dywanie?

### ELEGJA SZÓSTA

Od jak już dawna, figowcze, jest mi to wiele znaczące,  
że kwitnienie swe omal zupełnie pomijasz  
i w głąb rychło zawiązanego owocu,  
nierozsławiony, tłoczysz czysty swój sekret.

Jak wodotrysku próżnia, tve wykręcone gałęzie  
sok nadół pchają i wzwyż: a on skacze ze snu,  
prawie nieobudzony, w błogość najslodszych dokonań.  
Spójrz: jak bóg ów w łabędzia.

...Ale my zwlekamy,  
ach, my się pysznim kwitnieniem, i w zapóźnione wnętrze  
końcowego owocu naszego przenikamy zdradzeni.  
W nielicznych tak mocno wznosi się pasja działania,  
że wtedy już stoją jak wryci i w serca pełni płoną,  
kiedy pokusa kwitnienia, jak nocne ukojone powietrze,  
dotyka młodości ich warg, dotyka ich powiek:  
w bohaterach być może i w zaświat wczas przeznaczonych,  
którym śmierć, jak ogrodnik, inaczej żyły wygina.  
Ci to się walą o ziem: własny swój uśmiech  
wyprzedzają, jak ów zaprzęg rumaków na wklęsłych  
łagodnych obrazach z Karnaku przed królem, który zwycięża.

Dziwnie bliski jest przecie bohater młodo umarłym. Trwanie  
nie ma do niego przystępu. Wznoszenie jego jest bytem; bez  
[przerwy  
ujmuje siebie i wkracza w konstelację zmienioną  
swego trwałego niebezpieczeństwa. Niewieluby tam go znalazło.  
[Natomiast  
los, co nas mrocznie przemilcza, nagłym zachwytem porwany,  
w burzę śpiewa go wprost jego rozszumiałego świata.  
Wśród wszystkich jego słyszę. Przenika mnie raptem  
z prądem płynnym powietrza ton jego przyciemniony.  
Wtedy, jakże chętnie skryłbym się przed tęsknotą: o, gdybym,  
gdybym był chłopcem i jeszcze mógł nim zostać i siedział  
na przyszłych ramionach wsparty i czytałbym o Samsonie,  
jak matka jego nic zrazu, a potem wszystko zrodziła.

Nie byłże w tobie już bohaterem, o matko, czyż nie tam,  
w tobie rozpoczął się już wybór jego wszechwładny?  
Tysiące burzyły się w łonie i *nim* być pragnęły,  
lecz spójrz: on opuszczał i chwycił, wybierał i zdołał.  
A gdy kolumny kruszył, to wówczas, gdy się wydarł  
ze świata twojego ciała w ciaśniejszy świat, gdzie nadal  
wybierał i zdołał. O, bohaterów matki,  
o, źródło rwących potoków! O, jary, w które  
zwysoka, z serca krawędzi, ze skargą,  
już dziewczęta runęły, w przyszłości ofiary dla syna.  
Bo, jeśli gnał bohater poprzez przystanki miłości,  
każdy wynosił go ponad, każdy za nim drgający puls serca,  
on, odwrócony już stał, na końcu uśmiechu, odmienion.

### ELEGJA SIÓDMA

Nie ubieganie się już, ani błaganie, głos co się przerósł.  
niech będzie krzyku twego naturą; wprawdzie wołałeś czysto;  
[jak ptak,  
gdy pora go roku podejmie, wzrastająca, zapominając nieomal,  
że biedujące zwierzę, a nie pojedyncze li serce  
w pogodność miota, w rzewne niebiosy. Jak on, zapewne  
i ty ubiegałabyś się, nie mniej — by, niewidzialna jeszcze,  
towarzyszka powzięła o tobie wieść, cicha, ta, w której odpowiedź:  
budzi się zwolna i zagrzewa się ponad słuchaniem —  
na miłość twą onieśmieloną płomienna miłośnica.  
O, i wiosna czyż nie pojęłaby, tam miejsca niema,  
co nie uniosłoby dźwięku zwiastowania. Naprzód maleńki  
ów pytający przedzew, którego potęgującą się ciszą  
zdala omilcza czysty przytakujący dzień.  
Potem stopnie wzwyż, stopnie-krzyki, wzwyż ku wyśnionej,  
świątyni przyszłości; — poczem tryl ów, fontanna,  
co w nagłym strumieniu już opadanie uprzedza

w obiecującej igraszce... A lato, przed sobą.  
Nietylko wszystkie lata poranki — nietylko  
jak przemieniają się w dzień i przed początkiem świateł.  
Nietylko dnie, co delikatne są wokoło kwiatów, a w górze,  
wokół ukształtowanych drzew, mocne oraz potężne.  
Nietylko zbożność tych rozkwitłych mocy,  
nietylko drogi, nietylko łąki o wieczorze,  
nietylko, po burzy późnej, przezroczystość dysząca,  
nietylko zbliżający się sen i przecucie, z wieczora...  
ale noce. Ale wysokie, latem,  
noce, ale gwiazdy ziemi.  
O, być kiedyś umarłym i widzieć je nieskończone,  
wszystkie te gwiazdy: gdyż jak, jak, jak je zapomnieć...

Spójrz, otom oblubienicę wołał. Ale nie *ona* tylko  
zjawiłaby się... Nadeszłyby z mogił zwątlonych  
dziewczęta i przystanąły... Gdyż jak ograniczyć mam,  
o, jak, rozbrzmiały zew? Zapadli poszukują  
zawsze jeszcze ziemi. — Dzieci, tutaj na ziemi  
raz jeden ujęty przedmiot mógłby znaczyć tak wiele.  
Nie myślcie, iż los jest czemś więcej, niżli zgęszczeniem  
[w dzieciństwie;  
jak często prześcigałyście ukochanego, dysząc,  
dysząc po biegu błogim, za niczem, w przestrzeń.  
Tu być jest cudownie. Wiedziałyście o tem, dziewczęta, wy także,  
pozornie cierpiące niedostatek, ginące — wy, w najokropniejszych  
zaułkach miejskich, owrzodziałe, albo odkryte  
odpadkom. Gdyż każdej jedna dana była godzina, może niezupełnie  
cała godzina, coś miarami czasu ledwo  
wymierzalne, między dwoma światami, kiedy  
każda miała istnienie. Wszystko. Ich żyły pełne istnienia.  
Jeno my zapominamy tak łatwo to, czego śmiejący się sąsiad  
nam nie potwierdzi lub nie pozazdrości. Widzialnie  
chcemy je unieść, a przecież najwidoczniej szczęście

wtedy dopiero nam się odkrywa, kiedy je wewnątrz przemienim.  
Nigdzie świata nie będzie, umiłowana, tylko we wnętrzu. Życie  
na przemianie nasze upływa. I coraz niklejsze  
to, co zewnątrz, niknie. Gdzie ongi budynek był trwały,  
przebija się wytwór zmyślony, wpoprzek, do abstrakcyjności  
całkowicie należąc, jakgdyby w mózgu jeszcze stał cały.  
Przestronne śpichrze nocy stwarza sobie duch czasu, bezpostaciowe,  
jak napinający rozpęd, który z wszystkiego dobywa.  
Świątyni nie zna on już. Ową serca rozrzutność  
my skryciej zaoszczędzamy. Tam nawet, gdzie jedna choć przetrwa,  
jedna wielbiona niegdyś rzecz, wysłużona jakaś, wyklęczona —  
przechodzi tak, jaka jest, już w niewidzialne.  
Wielu już jej nie spostrzega, ale bez owej korzyści,  
by teraz ją *wewnątrz* zbudować, z filary i posągami, większą.

Każdy głuchy nawrót świata ma takich wydziedziczonych,  
do których uprzednie już nie, a najbliższe jeszcze nie należy.  
Gdyż także najbliższe jest oddalone od ludzi. Nas to  
nie powinno zbić z tropu; niech w nas utwierdzi odczucie  
jeszcze powziętej postaci. To *stało* niegdyś wśród ludzi,  
pośrodku losu stało, druzgocącego, pośród  
niewiedzy dokąd iść, jakby istniejąc, i przechylało  
gwiazdy ku sobie z zapewnionych niebios. Aniele,  
tobie je jeszcze ukażę, *tu* w twojem patrzeniu  
ocalone niech wkońcu stanie, prostopadłe nareszcie:  
kolumny, pylony, sfinksy, unoszący się napór  
(szary z rozpadającego się miasta albo z obcego) katedry.  
Czy nie było to cudem? O zdumiewaj się, Aniele, my bowiem  
[jesteśmy].  
my, o, ty, wielki. Opowiedz, że temu podoleliśmy, mój oddech  
nie nastarczy chwaleniu. Tedy nie zaniedbaliśmy przecie  
budowli, tych przychylających się, tych  
*naszych* budowli. (Jakże straszliwie muszą być wielkie,  
przepęłniają tysiącleci naszego odczucia).

Lecz wielka była wieżyca, prawda? Aniele, zaiste —  
wielka obok ciebie ustawiona? Chartres było wielkie — i muzyka  
w dalszy przestwór sięgała i ponad nas się piętrzyła. Choćby  
miłująca dziewczeczka, samotna w oknie nocnem...

O, nie sięgnęła twych kolan? —

Nie myśl, że o ciebie zabiegam.

Aniele, a gdybym nawet zabiegał! Nie nadchodzisz. Albowiem  
wołanie moje pełne jest wybiegu; wbrew tak mocnemu  
prądowi nie zdołasz kroczyć. Jak wyprostowane  
ramię jest me wołanie. A jego ku uchwyceniu  
wysoko rozwarta dłoń przed tobą pozostaje  
rozwarta, jak odtrącenie i przestroga,  
Nieobjęty, szeroko napłask.

### ELEGJA ÓSMA

Wszystkiemi widzi stworzenie oczami  
otwarty przestwór. Tylko nasze oczy  
jak wywrócone są i wokół niego  
niby potrzaski wkrąg poustawiane,  
zagradzające jego wolne wyjście.  
Co zewnątrz jest, to ze zwierzęcia jeno  
wiemy oblicza; wcześniej bowiem dziecko  
już obracamy i je niewolimy,  
by wstecz ujrzało kształt, a nie otwartość,  
co tak głęboko tkwi w zwierzęcej twarzy.  
Od śmierci wolna. Ją widzimy wyłącznie  
my; swobodne zwierzę ma zagładę swą  
zawsze za sobą, a przed sobą Boga,  
a kiedy kroczy, w wiekuistość stąpa,  
tak, jak przechodzą strugi. My nie mamy  
przenigdy, ni jednego dnia, przestrzeni  
przed sobą czystej, w której nieskończenie



kwiaty się roztapiają. Zawsze jest to świat, a nigdy „Nigdzie“ nieograniczone; to, co się wdycha i wie nieskończenie, a nie pożąda. Dziecko poniektóre cichaczem się zatracą w tem i trzeba wstrząsnąć niem. Lub umiera ktoś: i *jest tem*. Gdyż blisko śmierci już śmierci nie widać, w dal wzrok się wlepia, olbrzymiem wejrzeniem zwierzęcia może. Gdyby nie to drugie, które przesłania widok, miłujący są blisko tego i trwają w zdumieniu... Rozwarto im, jakby z niedopatrzania, coś poza drugim z nich... Ale ponad nie nikt wyjść nie zdoła — znów ma wokół świat. Wciąż zapatrzeni w istnienie, widzimy odzwierciedlenie w niem tylko swobody, co zaciemniona jest przed nami. Albo to, że spojrzęło ku nam zwierzę, nieme, wskroś nas. To zwie się los: trwać naprzeciwko i nic ponadto i zawsze naprzeciw.

Na podobieństwo naszej gdyby była świadomość w owem zwierzęciu bezpiecznem, które w kierunku innym ku nam kroczy — nasby za sobą porwało w swej zmianie. Ale byt jego jest mu nieskończony, nie do ujęcia oraz bez przejrzenia istoty jego, czysty, jak źrenica. Gdzie oglądamy przyszłość, ono wszystko widzi i siebie w wszystkim i na zawsze, że uleczone jest. Jednak w zwierzęciu tak czujnie ciepłem ciężar jest i troska wielkiej zadumy. Albowiem i jego zawsze ogarnia to, co nas tak często

miażdży — wspomnienie nikłe: tak, jakgdyby  
kiedyś już to, ku czemu podążamy,  
bliższe nam było, wierniejsze i łączność  
beźmiernie czułą miało. Tu wszystko przedziałem,  
a tam tchem było. Po pierwszej ojczyźnie  
druga wątpliwa jest mu i przewiewna.  
O ty, błogości *maleńkiego* stworu,  
*zostającego* zawsze w łonie, które  
go donosiło; o, komar szczęśliwy,  
co jeszcze *wewnątrz* skacze, nawet wtedy,  
gdy się weseli: gdyż łonem jest wszystko.  
A spójrz na połowiczną pewność ptaka,  
który wie niemal jedno oraz drugie  
z zaczątku swego, jakgdyby był duszą  
Etruska, która wyszła z umarłego,  
a przestrzeń ją przyjęła, lecz z postacią  
spoczywającą w kształcie wieka. I jak  
jest zadziwiony któryś, gdy ma wzlecieć,  
a wynikł z łona. Jak przed samym sobą  
złękniony, drgnieniem przenika powietrze:  
rysa pęknięcia poprzez filiżankę.  
Nietoperzowy ślad kruszy zygzakiem  
tak porcelanę zmierzchu. My wszelako:  
wiedzowie, zawsze, wszędzie, ku wszystkiemu  
temu zwróceniu a przenigdy poza!  
Przepelnia nas. My porządkujemy.  
Rozpada się na szczątki. Porządkujem  
odnowa i w gruz walimy się sami.  
I któż to nas obrócił tak, że my,  
cokolwiek czynim, wciąż trwamy w postawie  
kogoś, kto odejść ma? Jako na wzgórzu,  
które dolinę znaną raz mu jeszcze  
całą odsłania, człowiek się wstrzymuje,  
odwraca głowę, chwilę zwleka, stoi —  
tak my żyjemy, żegnając się zawsze.

## ELEGJA DZIEWIĄTA

Czemu, gdy jest to możliwe, tak oto porę istnienia spędzić jako laur, nieco ciemniejszy, niż wszystka inna zieloność, z maleńkimi falami u brzegu każdego liścia (jakby wiatru uśmiech): — czemu przeto być zmuszonym do tego, co ludzkie — a, unikając losu, tęsknić za losem?...

O, nie dlatego, że szczęście *jest*, ten zbyt rychły zysk zbliżającej się straty. Nie z ciekawości, ani by wypróbować serce, które w laurzeby także *było*...

Ale dlatego, że „tutaj być“ to jest wiele — i że widocznie nas potrzebuje wszystko tutejsze, to przemijające, które tak nas dziwnie obchodzi. Nas, przemijających najbardziej

[*Raz jeden*

każde, *jeden raz* tylko. *Raz jeden* i nigdy potem. I my także *jeden raz*. Nigdy potem. Ale to, iż *raz jeden* się było, chociaż tylko *raz jeden*: to, iż było się ziemskim, nie zdaje się odwołać.

I tak napieramy oto i pragniemy temu podołać, chcemy to zawrzeć w prostych dłoniach naszych, w wzroku przepelnionym bardziej, w oniemiałym sercu. Chcemy się stać tem. Komu to oddać? Najchętniej wszystko zatrzymać na zawsze... Ach, w tamten wgląd, biada, cóż się tam bierze ze sobą? Nie zapatrzenie się, tutaj zwolna wyuczone, i nic z tego, co wydarzyło się tutaj. Nic. Tedy cierpienia. Tedy przed wszystkim: ciężkość, a więc miłości długie doświadczenie — tedy wszystko, co niewymowne. Lecz później, tam pod gwiazdami, cóżże to znaczy: te bardziej są niewymowne! Przecież wędrowiec także ze zbocza przynosi gorzkiego nie garść ziemi w dolinę, dla wszystkich niewysłowionej, ale

słowo zyskane, przeczyste, żółto-niebieską  
gencjanę. Czy może jesteśmy *tutaj*, aby powiedzieć: dom,  
most, studnia, brama, dzban, drzewo i okno,  
najwyżej: kolumna, wieża... ale *powiedzieć*, zrozum,  
o, powiedzieć tak, jak same te rzeczy nigdy  
nie sądziły, iż żarliwe są. Czyż nie jest to skryty podstęp  
tej ziemi zatajającej, kiedy kochanków przynagła,  
by w ich uczuciu wszystko zachwyciło się sobą?  
Próg: czemuż to jest dla dwojga  
miłujących, że własny swój starszy próg  
odrobinę ścierają, również oni, po tylu, co byli przedtem,  
i przed tymi, którzy nadejdą... leciutko.  
*Tu wypowiedzialnego* jest czas, *tutaj* jego ojczyzna.  
Mów i wyznaj. Bardziej niż kiedykolwiek  
odpadają rzeczy, które są przeżywalne, bowiem  
co je, roztrącając, zastąpi, to praca bezobrazowa.  
Praca pod skorupami, pękającymi chętnie, gdy tylko  
we wnętrzu działanie wyrośnie, inaczej się ograniczy.  
Między młotami trwa  
serce nasze, jak język  
między zębami, co jednak  
zawsze sławiący będzie.

Sław Aniołowi świat, nie ten niewypowiedzialny, przed nim  
nie zdołasz się pysznić tem, coś wykonał wspaniale;  
[w wszechświecie,  
gdzie czulej on czuje, tyś jest nowicjuszem, przeto  
pokaż mu to, co proste, z pokolenia na pokolenie lepione,  
co nasze jest i żyje obok dłoni i w wzroku.  
Powiedz mu *rzeczy*. Bardziej zdumiony przystanie: jak ty stałeś  
u powroźnika w Rzymie lub garncarza nad Nilem.  
Wskaż mu, jak błoga może być rzecz, jak bezwinna i nasza,  
już nawet żalący się ból na kształt decyduje się czysto,  
jako *rzecz* służy, albo umiera w *rzecz*. — i poza

skrzypce w szczęściu uchodzi. A rzeczy te, upływaniem żyjące, pojma, że je rozstawiasz; przemijające, ufają, iż my je ocalim, przemijający najbardziej. Chcą, abyśmy je całkiem przemienili w sercu niewidzialnem, o, nieskończenie w nas! kimkolwiek wkońcu będziemy

Ziemió, nie jestże to, czego pragniesz: niewidzialna powstać w nas z martwych? — Czyż nie jest to twoim snem: raz jeden być niewidzialną? — Ziemió! ty — niewidzialną! Cóż, jeśli nie przemiana, jest twem nagłym zadaniem? Ziemió, miła, ja chcę! Ach, uwierz, jużby nie trzeba więcej twych wiosen, aby mnie tobie pozyskać. — jedna, ach, jedna jedyna — to już dla krwi jest za wiele. Potężnie się skłaniam ku tobie, z wielkich oddali. Zawsze tyś słuszność miała, a świętym twoim pomysłem: spoufalona jest śmierć.

Widzisz, ja żyję. Z czego? Patrz, ni dzieciństwo, ni przyszłość nie uszczuplają się... Ponadliczbowy byt w sercu mojem kiełkuje.

## ELEGJA DZIESIĄTA

Niechbym ja kiedyś, u mety srogiego zrozumieni , zachwyty i chwałę wyśpiewał współbrzmiającym Aniołom. Niechby żaden z lśniaco-ubitych młotów serca nie zawiódł na miękkich, zwątpiałych albo rwących się strunach. Niechby mi moje płynące oblicze blasku przydało: iżby szloch niepozorny zakwitł. O, jak mi wtedy, noce, miłe będziecie, pełne zgryzoty. Żem was na klęczkach, siostry niepocieszone, nie przyjmował, żem się w wasz luźny włos bardziej rozluźnion nie oddał. My, marnotrawcy cierpień.

Jak przewiduję je z góry, w zasmucające trwanie,  
czyli się kiedy nie kończą. Ale cierpienia to przecież  
jest nasze zimotrwałe listowie, ciemno-zielona zaduma,  
jedna z pór utajonego roku — nietylko  
czasem — są miejscem, osiedlem, obozem, mieszkaniem i glebą.

Zaiste, jak obce są, biada, zaułki Miasta-Boleści,  
gdzie w fałszywej, z nadmiaru dźwięku zrobionej  
ciszy, mocny — formy odlewającej próżni: odlew —  
pyszni się zgiełk pozłocony, rozpękający pomnik.  
O, jak bez śladu Anioł rozdeptał im Rynek Pociechy,  
odgraniczony przez kościół, ich kościół nabyty w całości:  
schludny, zawarty i żalony, jak urząd pocztowy w niedzielę.  
Ale na dworze zawsze skręcają się brzegi jarmarku.  
Tam wolności huśtawki! Kuglarze i nurki zapału!  
I upstrzonego szczęścia w figurki zdobna strzelnica,  
gdzie cel dryga oraz rusza się coś blaszano,  
gdy kto wprawniejszy trafi. Od poklasku do trafu  
zatacza się coraz dalej; gdyż ciekawostek wszelakich  
wabią budy, w bęben biją i beczą. Zaś dla dorosłych ponadto  
osobne jest widowisko, jak rozmnaża się pieniądz,  
anatomicznie, nie dla samej zabawy: narząd płciowy pieniądza,  
wszystko, całość, sam przebieg — to poucza i czyni  
płodnym...

...O, lecz wyżej zaraz ponad tem,  
poza ostatnią sztachetą, oblepioną plakatami „Losu śmierci“,  
piwa gorzkawego, które słodkie zda się pijącym,  
gdy rozrywkami świeżymi przegryzają je ciągle...  
tuż na tyłach parkanu, zaraz jest za tem: prawdziwość.  
Bawią się dzieci, a kochankowie trzymają się na uboczu,  
poważnie, w trawie skąpej, a psy tropią naturę.  
Dalej jeszcze coś nęci młodziana; być może jedną z młodych  
Skarg miłuje... Wśląd za nią na łąki wkracza. Powie mu ona:  
daleko. Mieszkamy tam hen...

Gdzie? I już młodzian  
idzie za nią. Rozczuła go jej postawa. Ramiona, kibic — (być może  
z świętego, pochodzi rodu). Lecz ją opuszcza, zawraca,  
ogląda się, przyzywa... I cóż mu? Ona jest Skargą.  
Jeno młodzi umarli, w porze najpierwszej  
bezczułości pozaczasowej, w stanie odwykani  
kroczą za nią miłośnie. Dziewcząt  
wyczekuje i przyjaźni się z niemi. Im ukazuje lekko,  
co ma na sobie. Perły cierpienia i delikatne  
zasłony pobłażania. — Obok młodzieńców stąpa,  
milcząc.

Ale tam, gdzie zamieszkują, w dolinie, przygarnie  
jedna ze starszych Skarg młodzieńca, skoro zapyta: — Byłyśmy,  
odrzecze, wspaniałym rodem ongi, my, Skargi. Ojcowie  
trudnili się górnictwem, tam, w górach olbrzymich, wśród ludzi  
odnajdziesz niekiedy płytę ociosanego prabólu  
lub, z pradawnego wulkanu, w żuźle skamienion gniew.  
Tak, to się stamtąd wywodzi. Niegdyś byliśmy bogaci. —

I prowadzi go lekko przez Skarg rozległą krainę,  
kolumny mu świątyń wskazuje albo i zgliszczą  
zamków owych, skąd niegdyś żalni książęta krainą  
mądrze władali, i ukazuje wysokie  
łzawnice-drzewa i niwy żałości zawsze kwitnącej,  
(żyjący znają je jeno jako łagodne listowie);  
zwierzęta żałoby mu wskaże, co się pasają — a czasem  
spłoszy się ptak i pociągnie, płasko im lecąc przez wzwyż  
wzrok zapatrzony, hen, piśmienny hieroglif samotnego krzyku. —  
O zmierzchaniu go wiedzie ku mogiłom praojców  
ze Skarg pokolenia, ku sybillom i wróżom.  
Ale gdy noc nadpełza, tedy ciszej stąpają, a wkrótce  
księżycowieje wzwyż grobowiec ponad wszystkim  
czuwający. Zbratany z owym grobem nad Nilem,

z dostojnym Sfinksem: — zatajającej komnaty  
obliczem.

I podziwiają głowę, korony godną, która na zawsze,  
milcząc, człowiecze oblicze  
złożyła na wadze gwiazd.

Tego nie obejmie wzrok jego, w zgonie wczesnym  
mdlejący. Lecz ich patrzenie  
spoza skraju posągu sowę wypłoszy. A ona,  
muskając w powolnym przelocie wpodłuż policzka  
tę najdojrzalszą okrągłość,  
kreśli miękko w ów nowy  
martwy słuch, nad podwójnie  
rozwartą kartą nieopisany zarys.

A powyżej gwiazdy. Nowe. Gwiazdy Krainy-Boleści.  
Wolno nazywa je Skarga: „Tutaj  
popatrz: to „Jeździec“, „Żagiel“, a ten pełniejszy gwiazdozbiór  
zowią: „Wieńcem z owoców“. Poczem ku biegunowi dalej:  
„Kołyska“, „Droga“, „Księga płonąca“, „Kukła“ i „Okno“  
Lecz w południowem niebie, czysto jak w głębi  
błogosławionej dłoni, jasno rozbłyskujące „M“,  
które matki oznacza...”

Wszelako umarły uchodzić musi, i milcząc prowadzi go starsza  
Skarga aż po jar,  
gdzie w blasku księżyca prześwieca  
radości źródło. Ze czcią  
wymienia go ona i rzecze: „Wśród ludzi  
jest on spławnym potokiem“

U stóp stanęli gór.  
I oto w uścisk go zamyka, płacząc.  
Samotnie w głąb się zapuszcza, w góry Prabólu.  
I nawet krok jego nie odbrzmi z bezgłośnego Losu.



Lecz gdyby zbudzili dla nas, ci nieskończenie umarli, przypowieść,  
spójrz, wskazałoby może bazy ogółoczonej  
leszczyny, zwisające, albo  
deszczby mieli na myśli, co na glebę pada ciemniejącą  
[w przedwiośniu. —

A my, którzy o *wznoszącym* się szczęściu  
roimy, zaznałibyśmy wzruszenia,  
jakie przeraża nas prawie,  
gdy coś szczęśliwego *pada*.

# JOHANN GAUDENZ VON SALIS-SEEWIS

## TEŃSKNOTA Z WIECZORA

Kiedy opada zmierzch, odbiegam miasto gwarne,  
Błąkam się błogo wkrąg poprzez błonie zroszone,  
Dusza ma w żalu tonie  
I w wspominiach przemiłych.

Szafranem barwny skraj brzeży widny widnokrąg,  
Blaskiem napuszcza krzew, wieńczy wzgórze połogie,  
Gdzie wiatrak stękający  
Śmigami zwolna kołuje.

Wsparty o stromość śluz, w dno rozwiewne poglądam,  
W rosą olśniony brzeg, i jak łubinu wonne  
Żółto rozkwitłe pola  
Blask rumiany farbuje.

Jeno w gałęziach olch trznadel urwanie nuci.  
Cisza kołysze w sen, w zaroślach drzemie sioło.  
Które kogut piejący  
I dym rozplynniony zdradza.

Świeży opar znad ros; mroczniejące zmierzchanie  
Rozpina gęstą mgłę nad niktące oddale,  
Gdzie zlewają się kształty,  
Tonie odległe wejrzenie.

Łęgi uchodzą w dał nad szafranowe brzegi,  
Ale rozłaki noc przestronny ściemnia przestwór,  
Gdzie czuwa moja luba,  
I iza przesącza się żalu.

# RUDOLF ALEKSANDER SCHRÖDER

## ODDŹWIĘK

Leżałem, śniąc; lecz zdało mi się we śnie,  
Jakby zawołał ptak, tak mi się zdało,  
Jakgdybym nie śnił; przecie śniłem, śpiąc,  
Bardzo uśpiony; bowiem była zima.

Knieni, o, wiosno! — Ale gdzież jest las?  
Gdzieżby zieloność? Nadto długo spałem,  
Za długo wisiał na gałązkach śnieg,  
A na badyłach sterczał ostry szron.

Zapomnij, serce, o wszelkim dobytku.  
Niech cię pouczy czas: nie twojać własność,  
Zapóżyczona ledwo, nawet to,  
Co u wrót serca skrycie się gnieździło.

Nie sądz, iż liść, który zrzuciło lato,  
Chroni cię, kiedy dygocesz w podmuchu.  
Jeno nasłuchuj, słuchaj: śpiew! — O, mówcie,  
Czyli śnił? — Przecie myślałem, że nie śnię.

MIĘDZY ILJADĄ A ODYSEJĄ

„Zdanie to kłamie, spójrz. Ja pragnę prawdy.“  
Muza tak rzekła, a Homer usłuchał.  
Poczem powstała. „Naprawdę skończone?“  
„Skończone“, jej odpowiedź, „wiekuiste“  
„I wolny jestem?“ — „Sam rzekłeś: na zawsze.“

Wtedy się porwał: „O, nieludzko piękna.  
Mam usta rozwiązane, to mój wyrok:  
Każdy jest bóg łaskawy. wszelkie serce  
Zna litość, nawet tyran swego raba  
Wysilek ceni. Tyś jedna niezłomna:  
Za dnia i w nocy wyrzuty sumienia  
I nawet we śnie nie dasz wytchnąć wardze.  
Żrenica twoja pełna jest przywidzeń,  
A dłoń wzniesiona stromo do zagłady.  
Posłuchaj zatem: odtąd jestem wolny.“

Tak się wyzbywszy zgryzot, w miasto spieszy,  
Biegnie, jak obłok, aby w kole druhów  
Odpocząć wreszcie, dzieła dokonawszy.  
Lecz gdy z wieczora do sklepionej izby  
Wraca, rozgląda się smętnie i obco.  
Dłonie ma puste, zwisają sieroco  
Nad wielkim dziełem. „Ach, jak ograbiony,  
Niby ul, który złupiono po nocy,  
Wynosząc plastry. Gdzież odnaleźć mózół,  
Robotę twardą, mękę dla pociechy?“

„Otom ja“, Muza szeptem w odpowiedzi.  
A gdy ślubował najświętszą przysięgę  
I, na kolana zwaliwszy się, szukał,  
Jak ślepi, poomacku fałd jej szaty,  
Rozwarła dłonie: „Przyjacielu, zwlekasz?“  
Zaszlochał: „Nigdy odtąd. Wybacz łzom tym.  
Pozwól, już świta. Tyś nadto łaskawa“.

## THEODOR STORM

Ocknął się miesiąc w mroku chmur,  
Zapada w głuszę dzień;  
Zamilkły ptaki, usnął bór,  
W mgieł otulony cień.

Jaskółka, nim odnajdzie schron,  
Wskos wzbija się do gwiazd;  
Kos ciągnie swój ostatni ton,  
I szuka, szuka gniazd.

Tedy i ja nad ciemny wrzos  
Z mych skrzypiec wznoszę śpiew,  
Jak badył smukły, ciężki kłos,  
Wśród nieruchomych drzew.

### WIELKANOC

Wdali to było, gdzie nadmorski skłon  
Pociąga oczy w mgliste widnokręgi,  
Wodami niósł się wielkanocny ton  
Dzwonów, co pełne zataczają kręgi.

Jak srebrne lśniły skrzące błamy mórz,  
pływały wyspy na stromem zwierciadle,  
mewy błyskały, jak ostrzony nóż,  
nurzając skrzydła wskos i prostopadle.

Do skraju grobli ciekły głębie łąk,  
szmaragd zieleni, malachit murawy;  
prorocza wiosna odmykała pąk,  
szalały ptaki, jak wodotrysk skrawy.

Jakby prastara szpara mokrych ust,  
rozpękła gleba, młode syczą soki,  
słyszę, jak tętni przyśpieszony puls,  
tryska ku górze, jak strumień posoki.

Wzbija się z nurtu magnetyczna woń;  
z niebiosów kapie rzeźka słodycz złota;  
wiatr wznosi dźwiękiem rozpienioną toń,  
jak święty, który odrzuca swe wota.

O, wioń, podmuchu, wiotkie pąki łam,  
by lato gromkie lunęło na niebo;  
rozwiń skrzydliśka, blasku, uderz w tram,  
a ty nie dygoc, zalękniona glebo!

Tu stałem często, gdy w jesienną noc  
kipiało morze na spienionej fali,  
kiedy waliła nawałnicy moc,  
jak pióra rybitw, zlatujących z dali.

Z krzykiem patrzałem, gdy o stromość śluz  
łkała bezsilnie, wylamując zęby;  
i opadała w siebie groza mórz,  
spływając w senne, mgliste widnokręgi.





**II**



# WOLFGANG VON GOETHE

## PROZERPINA

*Prozerpina* Wstrzymaj się! wstrzymaj, nieszczęsna! Nadarmo  
W surowem błąkasz się pustkowiu, błędna!  
Rozłogi żalu bez kresu przemierzasz  
I, czego szukasz, śladem twym się wlecze.

O, niech przed siebie,  
Ni ponad siebie nie wbija się oko!  
Czarna pieczara Tartaru  
Zasklepia miłe niebiosów dziedziny,  
Gdzie domostw błogich poszukując bóstwa,  
Wzrok zatapiałam.  
Jak zatraciłaś się głęboko, Zewsa  
Żaloszna córo!

O, przyjaciółki rozigrane,  
Gdy tamte kwieciami rozjarzone łęgi  
Dla nas się jeszcze zieleniły,  
A nad przezroczym źródłem Alfeusa  
Pluskaniem opar wznosiłyśmy tęczy  
W promieniach zmierzchu,  
I wiłyśmy liście,  
Dumając o tym, którego uwieńczy,  
Noc nam nie była zbyt mroczna, by gadać,  
I czas uchodził na gawędach lotnych,  
A słońce  
Z łoża srebrnego rychlej nie wstawało,  
Jak my, biegnące na wybrzeże lekko,  
By w rosie skąpać stopy różowe.

Dziewczęta, o, dziewczęta,  
Które samotne oto  
I rozproszone u tych strug bładzicie,  
Kwiaty podejmując,  
Które opadły jako krople łez  
Z łona uprowadzonej,  
Bezradne trwacie i patrzycie za mną.

Porwały mnie wdół  
Szybkie rumaki podziemi;  
Mocnem ramieniem  
Opasał bóg bezlitosny!  
I Amor umknął ze śmiechem na Olimp!  
Czyż, o, swawolny,  
Nie starczy ci niebios i ziemi?  
Czyż ognie piekielne  
Wzmóc musisz twoim płomieniem?

Wdół! w otchłanie bez dna!  
Tutaj królowa!  
Królowa?  
Przed którą jeno skłaniają się cienie!

Beznadziejna ich boleść!  
Beznadziejne szczęście wygnanych!  
Bezradna, patrzę.  
Niecofnionym wyrokom  
Wydał ich los;  
I błąkam się pomiędzy niemi,  
Bogini! królowa!  
Niewolnica przeznaczeń!

Ach! wody uciekające  
Pragnę wsaczyć do widmowej rzeki,

Nasyć owocami żywemi!  
Wpleść ręce w koło Iksjona,  
Powstrzymać mękę!  
Lecz co też możemy my, bóstwa,  
Nad wiekuiłą katuszą!  
Bezwładna pośród nich  
Mieszkam tutaj i patrzę,  
Jak się truzą Danaidy!  
Jak czerpią pustkę, przelewają próżnię.  
Ni kropli do warg,  
Ni kropli do kąpieli!  
Próżnia, szara pustka!  
Ach, podobnie i z tobą, serce moje!  
Skąd pragniesz czerpać? i dokąd?

Spokojne wasze kroki, błogie widma,  
Suną przed moją źrenicą otwartą;  
Innym stąpamy gościńcem!  
W tańcu waszym lekkim,  
W głębokim waszym gaju,  
W domostwie waszem szemrzącem  
Nie szeleści życie nadziemne,  
Nie chwieje się od cierpienia do radości  
Błoga pełnia.

Posępnie ścięte jego brwi,  
Zawarte oko!  
Miłości, o, miłości!  
Czemu rozwarłeś na chwilę źrenicę,  
By pożądała mnie, wiedząc, że ciemna  
Powieka odtąd zgasi ją na zawsze?  
Czemuś nie porwał jednej z moich nimf  
I na żalorny tron nie dźwignął? Czemu  
Córkę Cerery?

O, matko, matko!  
Jak cię opuszcza bóstwo, kiedy tracisz  
Córkę, o której sądziłaś, że, szczęsna,  
Igra i trwoni młodość swą na wiatrach!

Ach! napewno nadeszłaś,  
Pytając, pytając o mnie,  
Czego mi trzeba?  
Może nowej sukienki,  
Lub lekkich cizemek?  
A odnalazłaś dziewczęta,  
Przytroczone do łóz,  
Tam, gdzie mnie zagubiły,  
Skargę wznosząc, rwąc pukle,  
Dziewczęta, miłe dziewczęta!

Co z nią? co z nią? wołasz;  
Dokąd ją porwał bezecny?  
Dokąd grzmia jego rumaki?  
Żagwi!  
Żagwi przez noc!  
Nie spocznę, o, godziny, świećcie poprzez ciemnie.

Błyskają smoki mądremi oczami,  
Nawykłe do bezdroży, uległe uździenicy:  
Błądzisz przez pustynię bezludną.  
Tylko nie tu, nie tu,  
Nie do czeluści Nocy,  
Gdzie nie powstała stopa nieśmiertelnych,  
Gdzie, przytłoczona brzemieniem grozy,  
Omdlewam.

Wzbij się! drogą wężową!  
Pod Zewsa dach!

Wie, on jeden wie, Wyniosły,  
Gdzie mnie szukać.

Ojczy ludzi i bogów,  
Czyli spoczywasz w pozłocistem karle,  
Gdzie mnie, maleńką, wznosiłeś tak często,  
Na twoich dłoniach potężnych mnie pieszcząc  
Wobec niebios bezkresnych?  
Czy trwasz jeszcze, ojczy?

Zestąp z niebiosów, z ich błękitnych ogni!  
Zapręgiem tutaj!  
Niech wzbiję się z lochu!  
Niech ujrzę miły promień Apollina,  
A Luna  
Uśmiechnie się spośród kędziorów srebrnych!

Usłysz mnie, ojczy,  
Usłysz,  
Bym po długim mozole  
Dotknęła niebios powiewnych!  
O, serce, podmuch nadziei  
Wargi rozwiera,  
Jak po nocy, wzburzonej nawałnicą,  
Jutrzenka.

To nie skała, osnuta mchem,  
Nie góry strome,  
Czarne od grozy!  
Znalazłam kwiat, jeden kwiat,  
Jeden listek zawiędły,  
By go odchuchać dłonią.

Dziwne! bardzo dziwne!  
Ten znany mi owoc  
Z nadziemskich ogrodów... (zrywa owoc granatu)

Niech się nasycę  
Tobą, radości,  
Niechaj zapomnę  
Wszelką udrękę!  
Niechaj poczuję  
Wichry młodości  
I wonie chłonę  
Niebiańskich gajów!  
Niech błogie kłonią  
Do stóp się niwy! (*spożywa kilka ziaren*)  
O, nasycenie!

Och! czemu przez rozkosz  
I upojenie  
Okropnym bólem,  
Dłonią z żelaza  
Szarpie mnie piekło...  
Czym zawiniła,  
Uległszy szczęściu?  
Czy wszelka radość  
Mieni się w udrękę?  
O, skały nieprzebite,  
Chmury ciężące!  
Czeluści, gdzie lęgnie się  
Dusznna burza!  
Już nawołują mnie,  
Już mnie wołają!

*Parki*

Nasza! Nasza na zawsze!  
Sądzone ci było powrócić!  
Wargi utopiłaś w jabłku!  
Witaj, królowo!



*Prozerpina* Ojczy, to ty?  
O, czemu, czemu?  
Przekleństwo owocom!  
Czemu są piękne  
I potępione?

*Parki* Czemu się żalisz, nasza władczyni?

*Prozerpina* Gdybym was wtrącić mogła w otchłań,  
Mieszkanki otchłani!  
I zżec was płomieniem, płomienne!  
Nie zdołam was wytracić, monarchi  
Nienawiści, sprzęgnij mnie silniej!  
Czerpcie, bez końca czerpcie, Danaidy!  
Tkajcie, Parki! Szalejcie, Furje!  
Władam wami,  
Nędzniejsza od wszystkich!

*Parki* Nasza, o, nasza!  
Pokłon tobie,  
Sroga królowo,  
Władczyni!

*Prozerpina* Nienawidzę!  
I ciebie nienawidzę postokroć!  
O, straszliwy,  
Omdlewam w uścisku!

*Parki* Nasza, nasza władczyni!

*Prozerpina* Wywołaj katusze nocy stygijskich!  
Podpełzną ku wargom twoim,  
Nie moja czułość!

O małżonku bezecny,  
Strać mnie w otchłanie,  
Strać mnie ramieniem  
Na dno udręki.  
Niechaj zaginę!

*Parki*

Wielka królowo!

# ELPENOR

(FRAGMENT TRAGEDJI)

Osoby: Antiope, Lykus, Elpenor, Evadne,  
Polymetis, Młodzieńcy, Dziewczęta.

## AKT I

### SCENA I

#### *Evadne*

Podwólcie krok wasz! podejdźcie! zwawo!  
Dziś nie zwlekajcie zbyt długo, dziewczęta,  
Bywajcie!  
Nie układajcie szat, ni włosów luźnych,  
Do dzieła! Potem stroić się będziecie.  
Poranek pracy pilnej poświęcimy.

#### *Dziewica*

Oto nas masz, wkrótce pospieszą i  
Same zbudziłyśmy się rażno dzisiaj;  
Skiń, przyłożymy palców do roboty.

#### *Evadne*

Przystąpmy tedy do dzieła!  
Napół radośnie wprawdzie, półopornie,  
Zwołuję was, by pełnić służbę dnia;  
Przynosi bowiem miłowanej pani,  
W radość spowity, skryty, cichy ból.

### *Dziewica*

Tak, i nam wszystkim; przecie nas opuszcza  
On, miły chłopiec, z którym od tak dawna  
Najprzyjemniejsza spaja nas troskliwość.  
Powiedz, jak znosi to królowa? Czy beztrosko  
Oddaje wychowanka w ręce ojca?

### *Evadne*

I mnie niepokój targa, przyszłość ciemna.  
W jej duszy jeszcze dawny ból spoczywa;  
Podwójna strata syna i małżonka  
Zaledwo blizną się pokrywa. Jeśli  
Swawolność chłopca tego ją opuści,  
Czy sprostać zdoła odnowa frasunkom?  
Jak larwy z świata podziemnego rychlej  
Samotnych trapią, opuszczonych muska  
Lękliwie żalu chłodna dłoń widmowa.  
I komuż wreszcie odda ulubieńca!

### *Dziewica*

I ja to rozważyłam.  
Nigdy małżonka brat nie był jej miły;  
Szorstka rubaszność trzymała ją zdala.  
Ktoby przypuścił, iżby w synu jego  
Ujrzała przedmiot najdroższy czułości?

### *Evadne*

Gdybyż jej własny, jak dzisiejszy dzień,  
Mógł być nagrodzić frasunki matczyne!  
Już stąpa piękny chłopiec uroczyście  
Przed okiem ludu, tłum wlepia źrenice,  
Z dzieciństwa niskich i zawartych progów  
Na pierwszy szczebel szczęśliwej młodości;  
Ją to zaledwie cieszy. Całe państwo

Dank składa korny, jeno, ach! w jej piersi  
Zgryzota nowym ogniem się podsycą.  
Za mózół bowiem, uparty i szczytny,  
Tak wielka radość nie dana jest ludziom,  
Jak gdy natura, zlekka rozplatając  
Dłonie, użycza.

### *Dziewica*

Jakie przeżyła dni piękne, jak piękne,  
Nim szczęście porzuciło to domostwo,  
Najdroższych zabierając sercu, i umknęło,  
Jak nocą z łupem skrada się złoczyńca!

### *Evadne*

Nie odnawiajmy smutku tamtych czasów,  
Nie wznosmy skargi gwałtownej, szanujmy  
W mierze właściwej resztę szczęścia, która  
Wcielila się w pięknego chłopca miłą postać.

### *Dziewica*

Bogatym zwiesz, kto obce dzieci żywi?

### *Evadne*

Gdy podrastają kształtnie, cóż za radość!  
O, tak, wspaniały otrzymała dar,  
Syna Lykusa. I na tem wybrzeżu  
Samotnie wzrastał szybko u jej boku.  
Do niej należy, jeśli miłość pęta.  
Zespolonemu z jej uczuciem, teraz  
Tę część daruje władzy, która z ojca  
Na syna spada;  
Nadto to jeszcze, co z krain i skarbów  
Odziedziczyła niegdyś od rodziców.  
W dostatek wszelki go zaopatruje,

Jedynie dobrodziejstwo — jej bogactwem.  
Ludowi lepiej, kiedy jeden włada,  
Słyszałam, jak mówiła, i niejedno  
Słowo, co miało boleść ułagodzić,  
Która ją szarpie.

*Dziewica*

Radością, zda się, pała jej źrenica.

*Evadne*

I ja tak mniemam. Niechaj dobre bóstwa  
Strzegą młodości jej serca!  
Albowiem łatwiej służyć szczęśliwemu.

*Dziewica*

Kto jest szlachetny i nie srogi pychą.

*Evadne*

Jak nasza Pani, wysławiana chętnie.

*Dziewica*

Widziałam ją radosną, jak dziewczynę,  
I złoto brzasku na obliczu błogiem.  
I wtedy szczęście przeszło mi piersi,  
Rozświetlające mroki dawnych dni.

*Evadne*

Pozwól, gawędy dość kobiecej, oto  
Już czas zakrzętnąć się.  
Niech radość pracy nam nie psuje, której  
Dzisiaj domagać się będą nad miarę.  
Wesołość naszą, rzewne tętno serca  
Przelejmy szybko w dzieło, które czeka.

### *Dziewica*

Rozkazuj! wszystkie kwapią się dziewczęta.

### *Evadne*

Ze monarchi i naszej serce dzisiaj  
Otworem stoi, widziałam. Zleciła:  
Już skarby, które w mroku spoczywały,  
Spokojnie przyszłych czekając pokoleń,  
Czas jest ukazać, wszystkie oczy olśnić;  
Niechaj to święto na ładzie się wesprze,  
Na czystej mierze, jak dwóch towarzyszach.  
Co zawierzone mi, oto wyznałam;  
Wy baczcie, jako przybrać te komnaty,  
Kobierce haftem barwione rozłóżcie,  
Pokryjcie mury i stoły i ławy;  
Mądrym wyborem rozdzielcie drobiazgi  
I co bezcenne! A dla licznych gości  
Podłogę zmiećcie, uprzątnijcie kąty,  
I misy, kunsztem toczone misternym,  
Na miejsca godne unieście. Niech jadła,  
Ni trunku, dzisiaj nie zbraknie, tak Pani  
Nam nakazała, a ja jej powolna.  
I cudzoziemcom co ofiarujemy,  
Niech wdzięk i powab z uśmiechem kojarzy.  
Mężowie również pilnują nakazów,  
Gdyż, słyszę, konie, oręż i kwadrygi,  
By uczcić dzień ten, w ruchu już szcękają.

### *Dziewica*

Idziemy!

### *Evadne*

Idźcie! Ja za wami w trop,  
Jeno wstrzymuje mnie mój młody książę.

Jak gwiazda brzasku bieży lśniący, niechaj  
Dłonie na czoło mu złożę, co pała,  
Jak nowe światło, błyszcząc dla tysięcy.

## SCENA II

*Elpenor*

O, miła moja, tutaj wyczekujesz,  
Jak zawsze, udział w szczęściu mem biorąca?  
Spójrz, ledwo dzionek wszedł, ileż mi przyniósł!  
Ta, którą chętnie zwałem matką, dzisiaj  
Obdarzonego pragnie mnie pożegnać.  
Łuk oraz kołczan, pełen ciężkich strzał,  
Ofiarowała; na barbarzyńcach  
Zdobył go rodzic jej. Pamiętam, z wczesnej  
Młodości, kiedy śledziłem orężę,  
Porozwieszane na stromych kolumnach,  
Najbardziej przypadł mi do serca. Często  
Jegom domagał się, lecz nie słowami,  
Ze słupa brałem go w garść i brzęczałem  
Na jego mocno napiętej cięciwie;  
Poczem patrzałem na broń upragnioną,  
Chodziłem wokół, długo się wahając,  
Czy łuk powiesić, czy zatrzymać w dłoni.  
Dzisiaj życzenie spełnione. On mój,  
Mój jest na zawsze i stąd go uniosę,  
Kiedy mnie rodzic zawiedzie do grodu.

*Evadne*

Dar znamienity! o niejednym mówi.

*Elpenor*

O czem to?



*Evadne*

Wielki jest łuk, ciężko zgiąć go;  
Chyba nie błędzę, sądząc, że nie zdołasz.

*Elpenor*

O, ja potrafię!

*Evadne*

Przybrana matka twa tak samo mniema.  
Ufa, że szcasiem całą mocą męską  
Cięciwę napniesz i z uśmiechem,  
W którym nadzieja tai się, nakaże,  
Iżbyś grot miotał w godny strzały cel.

*Elpenor*

O, pozwól tylko! Kiedy polowałem,  
Zaledwo lekką łanię,  
Lub ptaszki drobne najniższych przestworzy  
Ubiłem; ale, gdy tobą zawładnę  
— O, bóstwa, zwólcie rychło! —  
Wtedy z obłoków wysokich, gdzie stromo  
Waży się, orła zestrzele.

*Evadne*

Czy zdała od tych gór, od twoich kniei,  
Gdzie wespół z nami żyłeś potąd,  
Wspomnisz o dawnych twych przyjaźniach,  
Nas nie zapomnisz?

*Elpenor*

Nie dasz się zbłagać? I mnie towarzyszyć?  
Opiekę nadal roztaczać tak czułą?

*Evadne*

Nie umiem w ślad twój iść, tam, dokąd stąpasz.  
I twe najbliższe lata już  
Otrząsną z ramion troskę kobiet.  
Niewiasty czułość dziecię karmi;  
Chłopca najdzielniej hartują mężowie.

*Elpenor*

Powiedzże, kiedy nadejdzie mój ojciec,  
Co mnie zawiedzie w ojczyznę?

*Evadne*

Dopiero,  
Gdy blask wysoko wzbije się na niebo.  
Ciebie obudził najwcześniejszy ranek.

*Elpenor*

Nie spałem, ledwo powieki przymknąłem.  
W sercu wzburzonym przeczuwałem, drzemiąc,  
Co też mam przeżyć dzisiaj — i jak wiele.

*Evadne*

Sam pragniesz, wielce dzisiaj upragniony;  
Gdyż oczy wszystkich wyczekują ciebie.

*Elpenor*

Powiedzno, wieszczę, zgotowano dary,  
Które mi rodzic ma nadesłać wkrótce;  
Ty musisz wiedzieć, co przyniosą posły?

*Evadne*

Bogate szaty, tak, tych się spodziewam,  
Jako mieć winien ów.

Na którym spoczną źrenice rozliczne,  
Aby ich wzrok, co nie dociera w głębie,  
Powierzchnością strojną się nasycił.

*Elpenor*

Więcej spodziewam się, piastunko moja!

*Evadne*

Klejnotów bodaj rodzic nie poskapi.

*Elpenor*

Nie wzgardzę, kiedy dłoń łaskawa poda;  
Przecie zgadujesz, jakgdybym był dziewczką.  
A ja ci mówię, że nadejdzie koń,  
Wielki, odważny i śmigły wierzchowiec,  
Długo pragnąłem go, teraz posiędę  
Na własność. Bo i co też począć mogłem?  
Raz dosiadałem tego, raz tamtego,  
A obok człapał trwożny, stary sługa.  
Ja chciałem gnać galopem, on się troszczył,  
By mnie całego odstawić do domu.  
Najchętniej polowałem wraz z królową,  
Lecz miarkowałem rychło, gdyby sama  
Na łowach była, ostrzejby jeździła,  
I ja tak samo, gdybym sam polował.  
Nie, tego konia zatrzymam na własność  
I w cwał się rzucę, że zaświszczą wiatry.  
Spodziewam się, że młody jest i dziki,  
Wtedy z radością go ujeżdżę.

*Evadne*

O przyjemności twojej oraz pewnie  
O bezpieczeństwie myślą.

### *Elpenor*

Przyjemność? ona jest tylko dla mężczyzn  
W niebezpieczeństwie. A ja wkrótce będę  
Mężczyzną.

A nadto zgadnij szybko! — wielki miecz  
Przyniosą, większy, niżelim nim władał  
Na łowach, miecz bojowy.

Gnie się, jak trzcina, za jednym zamachem  
Najtęższą gałąź przetnie;

Żelazo kraje nawskroś, żaden ślad  
Nie plami jego ostrza, które lśni.

Rękojeść: w złoty pysk smoka zdobiona,  
A wokół paszczy zwisają łańcuchy,

Jakgdyby w ciemnej pieczarze bohater  
Ugiął go, w pęta jął,

Niewolnika wyrwał na światło dnia.

Tam, widzisz? w lesie wypróbuję ostrza:  
Drzewa powalę do samego rdzenia.

### *Evadne*

Twe męstwo wroga powali do nóg;

Dla druha druhem będziesz, niechaj urok

Lotnego ognia w piersi złoży iskrę

Płomienia, który na wysokim pała

Ołtarzu, podsycanym przez jej czystą dłoń,

U Zewsa stóp.

### *Elpenor*

Tak, przyjacielem będę wiernym, pragnę

Dzielić się tem, co bóstwa mi użyczą;

Jeśli posiadę to, co mnie raduje,

To wszystko inne oddam wszystkim innym.

*Evadne*

Bogowie z tobą! Szybko przeszły dni  
Ostatnie, jako płomień, który liźnie  
Berwiono, oto płonie, niewstrzymany.  
Tak w proch się kruszy starość.

*Elpenor*

Spieszę się! czyny czekają chwalebne.

*Evadne*

Niechaj niebiosa cię natchną, byś mógł  
Odnaleźć miarę właściwą, byś zdołał  
Odróżnić często to, co chwały pełne,  
Od tego, co nam ludzkie chwałą usta.

*Elpenor*

Co też powiadasz? Nie, tego nie pojmem.

*Evadne*

Słowami, choćbym wiele ich strwoniła,  
Błogosławieństwa tego nie wyjaśnię;  
To nie nauka, to jeno życzenie.  
Pouczać? Słuchaj mnie chwilę uważnie.  
Przez pierwsze ścieżki przebiegłeś, igrając,  
I na przestronny wkroczyłeś gościniec;  
Idź doświadczonych śladem.  
Nanic nie zdałoby się, gdybym tobie  
Nazbyt dokładnie u samego progu  
Te opisała krainy, przez które  
Wędrować będziesz. Zważaj na życzliwych  
I szanuj godność starości.

*Elpenor*

Tak pragnę.

*Evadne*

I bóstw upraszaj, by za towarzyszków  
Zesłały ci roztropnych i serdecznych.  
Szczęścia przez pychę nie obrażaj, duma  
Podsycza błędy młodości, lecz szcudem,  
W latach statecznych, wzrasta miara świata.

*Elpenor*

O, tak, nim pojnę, ufam tobie. Pani,  
Choć bardzo mądra, wiele zwierza tobie.  
Niejednokrotnie zapytuje o to  
Lub owo — ty niezawsze odpowiadasz.

*Evadne*

Kto się pospołu starzeje z władcami,  
Zamilczać uczy się.

*Elpenor*

Jak chętnie zostałbym z tobą, dopóki  
Nie sprostam błędom, które grożą zewsząd.

*Evadne*

To niebezpieczne. Szczytna jest bezbłądność,  
A przecie władcy kształcić niepodobna,  
Jeśli zostawić go sobie. W samotni  
Nikt nie owładnie sobą — ni innymi.

*Elpenor*

Nie poskąp rady mi także w przyszłości.

*Evadne*

Jeżeli słuchać zechcesz, służyć będę,  
Kiedy zapragniesz — zbyt rychło nadejdę.

Katolicki Uniwersytet Lubelski

Zakład Filozofii i Humanistyki

Nr .....

*Elpenor*

Gdy zasiadałem przed tobą u ognia, a ty prawiałaś  
O czynach lat pradawnych i wysławiałaś heroje.  
Wieńczyłaś chwałą szlachetnych, ach, wierzaj,  
Ogniem do szpiku kości mnie przenikało.  
Z wnętrzości wtedy dobywał się głos:  
O, gdybym tym był, którego wysławia.

*Evadne*

O, gdybyś mógł tak wzrastać równomiernie  
Do szczytu, który ludziom osiągalny!  
To jest życzenie jedyne, najlepsze.  
Pochyl już czoło, niechaj drżące wargi  
Musną na długą je rozłękę. Żegnaj!  
Oto nadchodzi królowa.

SCENA III

*Antiope*

W miłej rozmowie znajduję was tutaj.

*Evadne*

Ostatni uścisk czuły przed odejściem.

*Elpenor*

Jak trudno zerwać pierwsze nici serca!

*Antiope*

Czekają ciebie z otwartymi dłońmi,  
Dowiesz się dzisiaj, na czym ci zbywało.

*Evadne*

Czy masz zlecenia jakie, monarchini?  
Muszę zakrzatnąć się raz jeszcze. Pójdę.

*Antiope*

Dziś nie mam zleceń, Evadne, dziś nie mam;  
Ty zawsze moje życzenia uprzedzasz.

SCENA IV

*Antiope*

A ty, mój synu, wkraczasz lekko w życie!  
Miłuję cię wielce, przecie żegnam  
Spokojnie, prawie z weselem.  
Byłam gotowa wyrzec się dziecięcia  
I delikatnie, matczynemi dłońmi,  
Przekazać obowiązkowi nieuchronnym.  
Dotychczas miłość cię wiodła, teraz  
Idź, posłuszeństwa ucz się, byś mógł władać.

*Elpenor*

Dzięki! tysięczne dzięki, o najlepsza!

*Antiope*

Podziękuj ojcu, że, łaskawy wielce,  
Najpierwszych twoich lat uroczy powab,  
Dzieciństwa śliczny wdzięk mnie ofiarował,  
Gdy się ślaniałam, ugodzona w serce,  
Pociecho moja jedyna!

*Elpenor*

O, jak zailem się często nad tobą,  
Pragnąc, ażeby zmartwychwstał twój syn.  
Jakże wyborny wzrósłby mi towarzysz!



### *Antiope*

Zaledwo starszy nieco niżli ty.  
My, obie matki, jednocześnie braciom  
Obiecałyśmy potomka. Synaczków  
Dwóch zrodziłyśmy, nowy błysnął blask,  
Nadziei światło w świetlicach praojców,  
I lśnił, jak słońce, nad wspólnem władaniem.  
W obu monarchach nowa wzrosła moc,  
Płomień potężny, by żyć, silnie władać  
I nieugięcie walczyć.

### *Elpenor*

Wprzódę tak często szli na pola bitew,  
A czemu zaprzestali teraz?  
Oręż rodzica zbyt długo spoczywa.

### *Antiope*

Młodzieniec się potyka, aby starzec  
Mógł zakosztować owoców. Wówczas  
Wyrocznia mego małżonka popchnęła,  
By się borykał z wrogiem poza morzem.  
Bo ów w perzynę grodziszczą obracał,  
I chytrze czaił się, jakby się skradał,  
I wydrzeć pragnął wszelkie skarby życia  
Bóg nieprzyjazny.  
Wyruszył w kotłów biciu i radosny  
Na czele wojów.  
Synaczka swego zostawił u piersi  
Matki. Gdzieżby zdać się mógł pewniejszy,  
Niż w schronie, w którym bóstwa go złożyły?  
Tam go zostawił, na przyzbie powiedział:  
Podrastaj, synku! Gdy zaczniesz gaworzyć  
I plątać nóżki w krokach nieudolnych,

Niechbyś napotkał rodzica, gdy wróci  
Zwycięzcą, wkrótce.  
Jakie czcze życzenie!

*Elpenor*

Zgryzota twoja rozżala mnie, równie,  
Kiedy źrenica twa odwagą błyszczy,  
Czuję, że krew mi w żyłach gra.

*Antiope*

Zwyciężał. Potknął się we krwi. Z zasadzki  
Zamordowano.  
Ośleplam wtedy od łez. Jak gorące  
Samotne łóżce!  
W nocy małego synka do piersi przyciskałam,  
O, pociecho!  
Tego mi także wydarł los. Niedoli  
Nie zniosłam. Dzisiaj jeszcze płaczę. Nie patrz.

*Elpenor*

O, nie patrz w boleść, niech ciebie, jak umiem,  
Pocieszę.

*Antiope*

Kobieto nierozważna, która siebie  
Nadzieją własną zdruzgotałaś nagle!

*Elpenor*

Siebie oskarżasz, gdy jesteś niewinna?

*Antiope*

Drobna omyłka, ale straszna skrucha.  
Od matki mojej szły kolejno posły,  
Które wzywały, abym u jej boku

Ułagodziła boleść. I chłopaczka  
Ujrzyć pragnęła, nim śmierć zgasi oczy.  
Tak umyśliła, że poufne słowa,  
Gawęda o minionym czasie szczęścia  
Będą balsamem dla mojej udręki.  
Aż przekonała wreszcie.

### *Elpenor*

Gdzie to się stało? Jak spełniono zbrodnię?

### *Antiope*

Pasmo górzyste znasz, co z morza strony  
Kraj nasz zamyka, jak łagodne ramię;  
Tamtędy drogę obrałam. Od wrogów  
I zbójców wolna, zda się, okolica.  
Niewielu ze mną pacholców w orszaku  
I jedna jeszcze niewiasta.  
Tam, gdzie się wąwóz otwiera, jest skała  
W zwarciu potężnych korzeni dębowych  
I czysta struga wytryska.  
Tam zatrzymano się w cieniu, pojono  
Zdrożone konie, jak się czynić zwykło,  
I rozproszyła się czeladź wokoło.  
Ów szukał miodu, który kapie z dziupli,  
By nas orzeźwić;  
Tamten zatrzymał wierzchowce u źródła;  
Trzeci narąbał gałązek powiewnych.  
Raptem usłyszą, jak krzyczy najdalszy,  
Bliższy pospiesza, i już bój rozgorzał,  
Bezbronnych z zgrają na wszystko gotowych,  
Od stóp do głowy uzbrojonych mężów,  
Którzy się w szczękę zakradli z zarośli.  
Jak mogą bronią się, padają wierni,  
Z nimi woźnica, który w przerażeniu

Puścił rumaki i miota kamienie  
Uparcie, tamci nastają gwałtownie.  
Stajemy, wryte, uciekamy. Zbóje  
Sądzą, że łatwo wydrą mi chłopaczka.  
Lecz oto wznawia się walka z wściekłością,  
Rozzarte, z strasznem uniesieniem, ramię  
Jedno opiera się, drugie, jak łańcuch,  
Więzi u piersi dziecię, gdy piastunka,  
Okropnie krzyząc, obiema rękami  
Odpycha — wreszcie, mieczem ugodzona,  
Rozmyślnie, czy też przypadkiem, kto wie.  
Omdlała, padam.  
Nakrywszy ją ciałem. Wtedy wydarto.

### *Elpenor*

O, czemu jest się dzieckiem, czemu zdała,  
W porze, gdy trzeba być walecznym! Pięść  
Zwiera się w kułak, słyszę wrzaski kobiet.  
Nawoływania: pomocy i zemsty!  
O, powiedz, matko, powiedz, kogo bóstwa  
Miłują, tego przywołują w czas?

### *Antiope*

Tak Herkulesa wiodły i Tezeja.  
Jazona również i herojów chór.  
Niebezpieczeństwo odnajduje tego,  
Kto jest szlachetny, on sam niebezpieczeństw  
Szuka, tak muszą się napotkać rychło.  
Ach, groza także skrada się na słabych,  
Którym, jak popiół, rozpacz trzeszczy w zębach.  
Tak odnaleźli mnie pasterze, w górach  
Znający ścieżki, rany przewiązali,  
Troskliwie wiedli półumierającą.  
Wróciłam. Odtąd żyłam.

Groza czyhała u progu domostwa,  
Boleść z frasunkiem czuwały u drzwi,  
Jak splądrowane przez wroga, zniszczone  
I przepalone — królewskie świetlice.  
Tak wzniosłam skargę i tak w skardze trwam.

### *Elpenor*

Kto zdrajcą był? Któż przeniewiercą? Mów!  
Kto czyn bezecny spełnił? Jaka wieść?

### *Antiope*

Rodzic twój na wsze strony gońców  
Rozesłał, wzgórze, parowy i brzegi,  
Ni chwili nie mieszkając, przeszukiwał.  
Wrócili zbrojni z pustymi rękami.  
Z nimi odnowa wracała świadomość  
I boleść, która szarpie pazurami,  
Wzrok mąci, w skronie uderza, jak wino,  
Rozwściecza, pali. Więc oręż bezsilnych  
Podjęłam, nurtów wzywałam i gromów,  
By zawały się na zdrajcy głowę,  
I niebezpieczeństw, co, jak żmije w trawie,  
Z ukrycia kąsać potrafią i celnie!  
O, bóstwa! — tak wołałam — niech niedoła  
Piorunująca i ślepa wytraci  
Mordercę! W palce chwycić sprawiedliwe  
Wichry bezpańskie i żywioły niebios,  
Błądzące po przestworzu niechaj runą!  
Gdy uwieńczony, pijany radością,  
Przestąpi próg, z uśmiechem przystanie,  
To dopadnijcie go, niech runie na twarz!  
Tak klęłam wargą, napoły zmartwiałą,  
Głosem zachrypłym..

*Elpenor*

O, jakże szczęśliwy  
Ten, w czyim ręku złożą nieśmiertelni  
Oręż twej zemsty niezblaganej!

*Antiope*

Słuchaj,

Uważnie słuchaj, synu mój, to los twój,  
Nietylko mój jest.  
Twój rodzic chętnie przyjął mnie, a przecie  
Odczułam rychło, że na łaskę jego  
Zdanam i w przymus wdzięczności zakuta.  
U matki żyłam, póki mi nie zmarła,  
I wtedy ojców dziedzictwo objęłam.  
I bezustannie zawsze nadarmo  
Nasłuchiwałam wieści o straconym.  
O, jakże często wkradali się obcy,  
By mnie nadzieją ludzić! W strojne szaty  
Znów ubierałam obłudnych, karmiłam  
Kłamców, wielbiłam oszustów!  
Nie zbrakło zalotników; natarczywi,  
Wokół ogniska zasiadali długo,  
A ja samotnie w noc się wykradałam,  
Aby z marami przestawać podziemi,  
Tak poślubiona cieniom — i bezradna!  
Wyboru nadszedł wreszcie czas, niewieście  
Opierać niepodobna się bezsilnej,  
Do twego ojca wówczas się powlokłam,  
Aby zasięgnąć rady, dziś wyznaję,  
Nigdy mi bliski nie był, ale mądrość  
Ceniłam jego wielce i — ufałam.  
A wtędym ciebie ujrzała!

*Elpenor*

Pamiętam,

Ach, jak dokładnie pamiętam: nadeszłaś,  
Ja opuściłem dysk z palców zawartych  
I rozluźniły się same, igrając.  
Podbiegłem, aby przyjrzeć się twojej sukni,  
I już oderwać się nie mogłem, w pasie  
Wyhaftowane zwierzęta i łowy  
Oglądający wydziergane ślicznie!  
A tyś je zwała po imieniu; jeszcze  
Podziśdzień chętnie je oglądam.

*Antiope*

Miły

Mój chłopcze, stałeś z twarzą podniesioną,  
Pięstki oparłszy o kolana moje.  
Ty, wymarzony! Często okiem ducha,  
Który przeczuwa, oglądałam synka.  
Jako spoczywa na praoców krześle,  
Lub oczy mruży przed ogniskiem. Oto  
Już się oderwać nie mogłam od ciebie,  
Pytającego przygarnełam.

*Elpenor*

Lata

Na odwiedzinach twoich zbiegły szybko.

*Antiope*

To on! tak serce mi szeptało, kiedy  
Pieściłam dłońmi nieśmiało twe skronie  
I całowałam oczy; tak, to on!  
Ach, nie twój własny, ale twojej krwi.  
A, gdyby bóstwo, nasłuchując modłów,

Z gładów zwietrzałych ulepiło dziecie  
I postawiło przed twoją źrenicą,  
Na kształt kamienny serceby zatłukło  
I równem tętnem zabiłoby w synu.

*Elpenor*

Odtąd byliśmy razem — nierozłączni.

*Antiope*

Tyś umiłował ciebie miłującą.  
Gdy się piastunka zjawiała o zmierzchu,  
By opornego do snu ukołysać,  
Rączkami mnie chwytając i ramiona  
Wokoło szyi mocno zaplatając,  
Nie do zerwania!

*Elpenor*

Przez mgłę wspominam... wspominam tę radość,  
Kiedyś mnie wiodła łagodnie za rękę.

*Antiope*

Opierał się twój ojciec. Wiele  
Napróżno słów strwoniłam. Zostaw  
Mi tego chłopca! błagałam, niech młodość  
Na pacholece stopy wzuje koturny.  
Życzenia wszystkie spełnię. Cudzoziemcom  
Odmówię ręki, aż do zgonu wdowa,  
Do tego, co posiada, dorzucę  
Z własnego wiana. Wtedy zamilkł,  
Rozważał korzyść. Zawołałam:  
Weź archipelag! To moja poręka!  
Państwo twe skrzep, moje dzierzawy  
Ochroniaj! Dla twojego syna!



To przekonało go. Twoim rodzicem  
Zawsze władała pycha, żądza ziem,  
Bezgranicznego władania.

*Elpenor*

Nie gań go! Przecie bóstwom wyrównać —  
To jest szlachetnych zamiar.

*Antiope*

Łajałam siebie samą odtąd,  
Ze zabliznia się boleść przez ciebie.  
Czuwałam. Silnie spętała mnie miłość  
I przykuwała nadzieja.

*Elpenor*

O, niechbym  
Zdołał ją spełnić.

*Antiope*

Nie ta nadzieja, która w zimę srogą  
Zielonem kwieciem opasuje czoło,  
A z drzewa w kwiatach śmieje się owocem;  
Nie, w piersi mojej nieszczęście, jak nóż,  
Dno uczuć wywróciło  
I żądzę bezmierną zniszczenia  
Posiało.

*Elpenor*

Nic nie ukrywaj! O, dopowiedz wszystko!

*Antiope*

Czasy spełniły się; oto jest prawda!  
Widziałam, jak wzrastałeś i śledziłam  
Otwartość twoją, miękka jasność czoła.  
Wtedy roiłam, że z chłopięcej mocy  
Wyrośnie mściciel.

*Elpenor*

Ależ tak! o, tak!

Nie spocznę, nim go nie odnajdę  
I w pył nie zetnę.

*Antiope*

Obiecaj! ślubuj! przysięgaj!  
Oto jest ołtarz prochów niepomszczonych.  
Żaloszne cienie tobie użyczyły  
Niezamąconej uciechy pacholąt.  
Tam spoczywają, przy zgasłym ognisku,  
Osieroceni. I słyszą nas.

*Elpenor*

Poważam cienie smętne. chętnie  
Ofiarę złożę, jakiej żądasz.

*Antiope*

Żal przeszywa nieśmiertelnych,  
Trud dobroczynny,  
Na opuszczonym palenisku  
Dogasa ostatnia skra.  
Mroczne domostwo. Wystygłe popioły.  
Nadarmo rozdmuchuje płomień  
Niebiańskimi wargami,  
Pełga, kruszy się w pył,  
Opada zwęglony.  
Biorący udział w ziemskich bólach,  
Spoglądają na ciebie  
Z wlepionym wzrokiem, wychyleni.  
I przytakują, kiedy wzywam:  
Tu, na bezkrwawym ołtarzu pokoju.  
Ślubuj pomstę!

*Elpenor*

Oto przysięga wiąże moje usta,  
Jak nakazałaś!

*Antiope*

Przecie nietylko on, najbliżsi  
Niech szczzną; wszyscy, którzy  
Moc nasycają jego,  
Albo szczęście, w żalosne  
Cienie zamień!  
Jeśli zstąpił zdawna w grób,  
Dzieci przywołaj i wnuki  
Na stratowaną mogiłę,  
Tam krew ich wytocz,  
Niech się rozproszy wokół jego ducha,  
Jak opar, w mrokach go przerazi,  
Dopóki, krwawy cały,  
Nie zbudzi się w nawałnicy widm.  
Niech groza padnie na wszystkich, którzy  
Przemysłnie sądzą, iż skryli się w trzewiach  
Ziemi!  
Niechaj frasunek oczy im powlecze  
Mgłą i zgryzota wyżera źrenice,  
By nie ośmielił się nikt ku smętarzom  
Patrzeć w nadziei, że za cichą bramą  
Z ołowiu spokój spoczywa. Ich kości  
Wywlecz!  
Kiedy tchnienie ulatuje z warg mu,  
Dłoń wyciąga, by złożyć na skronie  
Zgromadzonych lękliwie dzieci,  
Niech mu uschnie pod siłą twych źrenic,  
Niechaj wzdrygnie się, zanim położy  
Na kędziory, niewinnie rozwiane.  
Na ten zimny, mocny, święty gład

— Dotknij go — ślubujący,  
Iż tę klątwę spełnisz, nie cofniesz się!

*Elpenor*

Moje serce było wolne od pomsty,  
Nie zaznałem bowiem nigdy krzywdy.  
Gdy się z druhem powadziłem w zabawie,  
Równie lekko wznawiała się przyjaźń.  
Ale w żyły przelałaś mi ogień  
Niezaznany; powierzyłaś piersi  
Ciężkie brzemię, ciężar bezcenny.  
Do godności wyniosłaś heroja,  
Bym, wyniesion, odtąd stąpał w życie  
Krokiem równym, celnie wymierzonym.  
Tak! ślubuję gniewem, który gryzie,  
Jak trucizna, wargą, co nie kłamie,  
U tych progów niepokalanych,  
Klnę się, twojem będę narzędziem  
Wiekuiście!

*Antiope*

O, najmilszy!  
Niechaj dotknę ustami czoła,  
Na niewinnem wypalę znamię.  
A oto wyjdę przez wysokie wierzeje  
Do źródła świętego,  
Który z tajnych głębi wytryska,  
Spod pradawnych, pamiętnych skał,  
Mury moje omywając wokoło.  
Wrócę wkrótce.

## SCENA V

*Elpenor*

Co też uczyni, o, bogowie!  
Zadumana, przystaje przed promieniem jasnym,  
Trwa, przeglądając się w toni, w długim namysle;  
Och! oto ręce zmywa i ramiona,  
Skronie spryskuje i piersi,  
Ku niebiosom pogląda,  
W dłoń wydrążoną zaczerpuje wody  
I trzykroć, uroczyście, wylewa na ziemię.  
Jakąż ofiarę składa, zamyślona?  
Jakgdyby śpiący krok zwraca spowrotem,  
Och, zbliża się.

## SCENA VI

*Antiope*

Pozwól, że jeszcze raz, uradowana,  
Podziękę złożę.

*Elpenor*

Za co mnie podziękę?

*Antiope*

Że życiu memu odjąłeś ciężaru.

*Elpenor*

Ja tobie?

*Antiope*

Nienawiść brzemieniem  
Przytłacza serce i tłoczy je w czeluść,  
Jak głaz grobowy, kładzie się na piersi.

Nietylko w niedoli jest czułość  
Jedyną pociechą,  
Kiedy promień uczucia zabarwi się chmurnie,  
Zmacone szczęście ucieka, spłoszone.  
Jak w dłonie bóstw, złożyłam w ręce twoje boleść,  
I oto wstaję, spokojna, omyta,  
Jakbym skąpała się w strumieniu czystym.  
Oto z mej piersi cicha wystrzela nadzieja,  
Jak z gleby rozluźnionej kiełek nieśmiały  
Pnie się ku blaskom, co go zazielenią.

*Elpenor.*

Zaufaj mi! Twych rojeń nie ukrywaj.

*Antiope*

Czy stąpa jeszcze on pośród żyjących,  
Którego zdawierendawna oplakuję?

*Elpenor.*

O, niechby nadszedł! Powitam jak brata.

*Antiope*

Powiedz mi! Prosto w oczy patrz! Wyznaj!  
Jeżeli żyje i jeśli z uśmiechem  
Nadejdzie, czyli połowę dziedzictwa  
Oddasz mu chętnie? Nie wzdrygniesz się?

*Elpenor.*

Nigdy!

*Antiope*

Rodzic twój także mi przysiągł!

*Elpenor*

Przysięgę

Ponawiam u twych dłoni ofiarniczych.

*Antiope*

Oto przyjmuję ją także za tego,  
Który zatracił się, jeśli powróci  
I olśni blaskiem czoła chłopięcego.

*Elpenor.*

Powiedz, jak druha mam rozeznać?

*Antiope*

Jak bóstwa

Napowrót go przywiodą i świadectwa  
Użyczą, nie wiem. Lecz wspomnij: w godzi  
Kiedy mi z ramion go wydarto, złoty,  
Trzykroć misternie splątany łańcuszek  
Oplatał jego szyję, wizerunek  
Zwisał zeń słońca.

*Elpenor*

Zapamiętam odtąd.

*Antiope*

Zamilknij! To nie wszystko! Jeszcze jedno!  
Jest nieomyłne świadectwo krewieństwa,  
Nie zafałszuje go nikt.

*Elpenor*

Mów wyraźnie.

*Antiope*

Na karku znamię ma brunatne, takie,  
Jakie z radosnem zdumieniem u ciebie

Tak często oglądałam.  
Dziedziczne znamię wspólnego pradziada,  
W spadku przejęte przez was obu, wnuków,  
Na nie bacz pilnie.

*Elpenor*

O, mnie nikt nie zwiedzie.

*Antiope*

Piękniejsza, niżli zemsty cel, niech oddal  
Pociąga wzrok twój. Żegnaj, miły!  
Stokrotnie jedno powtarzam. Muszę  
Opuścić ciebie. Zamyślam się  
Nad przyszłym losem twoim, co się waży  
Między radością a boleścią, podobny  
Bóstwu.

W każdy pokarm śmiertelnych przemieszane są one,  
A przecie zwycięża życie, gdy czułość występuje nad  
[brzegi.

Dopóki wiem, że stąpasz po ziemi,  
Źrenica twoja słońce ogląda,  
A głos twój nawołuje druha,  
Choćby daleko uniosły cię kroki,  
Niczego nie zabraknie mi do szczęścia.  
Połączona kiedyś z cieniami,  
Ciebie wyczekiwać będę.  
Niechaj losy użyczą ci takiej miłości,  
Jaką pałam ku tobie!  
Chodź! Czas rozłąki nadszedł, pora zmilknąć.  
Niechaj wszędzie ci dzień, rumiany od blasku.  
Czekają posły króla. Rychło  
Nadejdą, wyprzedzając władcę.  
Chodź! Powitam ich u tego progu,  
I dank oddamy darom, które niosą.



## AKT II

### SCENA I

#### *Polymetis*

Z miasta, co tęskne jest wyczekiwaniem,  
Nadchodzę, sługa szczęśliwego władcy,  
Sam, nieszczęśliwy.

Mój pan z darami wysyła mnie przodem  
I wkrótce syna powita. Za chwilę

Uradowane oczy ujrzą pacholę,

Lecz do ogólnej wesołości wmieszam

Mój głos, ochrypli od skrytej boleści.

Tu bowiem, w piersi mojej, zawsze trwa

I wciąż pęcznieje wrzód straszliwej zdrady,

Dawno spełnionej, a wciąż jawnej oczom.

Król nie powinien z nikim dzielić czynów

I za współnika brać swej śmiałej winy.

Co, by koronę zdobyć i utwierdzić,

Godzi się jemu spełnić, to w narzędziu

Tych czynów zdradą jest jeno i biada

Jemu jednemu!

Łaska wywyższa nas i wtrąca w wiry,

Rychło w niepamięć puszczamy, co wi

Nieskazitelnej jesteśmy godności.

Zaprzędajemy się do dna. I z nas

Współtowarzyszem każdy jest postępuku,

Który jest obcy duszy i ją trwoży.

Dworacy w niewolników przemienieni! Z grzbietów

Swych rabów pochylonych rumaka

Dosiada, puszcza w cwał, zmierza do celu,

Zanim oblicze, przeżarte zgryzotą,

Uniesiem z ziemi.

Ku wargom moim tłoczy się goryczą

Okropna tajemnica, gdy ją wyznam,  
Podwójnym zdrajcą będę, gdy zataję,  
Zwycięży zbrodnia. O, całego życia  
Piastunko wierna, obłudo, czy teraz  
Łagodny palec i, jak głaz, ciężący  
Oderwiesz z moich ust? Czy tajemnicę,  
Którą karmiłem, jak druha, ranami  
Od stóp do głowy pokrytego, oto  
Wygonię z serca niby cudzoziemca?  
Jak pierwsze lepsze słowo, co w powietrzu  
W nicość rozplywa się? Ach, tak mi ciężysz,  
Umiłowana, mroczna świadomości,  
Krzepisz i dręczysz;  
Przecie nadchodzi kres; jeszcze się waham:  
O, jak lekliwa jest rozterka, kiedy  
Los cały zawisł na pajęczej nici!  
Przemówcie, bóstwa, dajcie znak, i usta  
Rozwiążcie lub milczeniem zasznuруйте.

## SCENA II

*Elpenor*

Polymetyście, witaj, który zdawna  
Znany mi, dobrą ozywiony wola,  
Dzisiaj postokroć witaj, przyjacielu!  
O, powiedz, co przynosisz? Czy wkrótce  
Odbiorę? Gdzie towarzysze twoi? Króla sługi?  
Czy możesz odkryć mi, z czym dziś nadchodzisz?

*Polymetis*

O, książę, pobródzzone moje rysy  
Tyś bez wahania rozpoznał! Po roku  
Zaledwie gubię się oto w pytaniach,

W domysłach: on to? Zali on naprawdę?  
Starość, jak drzewo, mchem siwym obrosłe,  
Trwa w miejscu, zda się nie zmieniać, dopóki  
Próchnica pnia do rdzenia nie spustoszy.  
Uroczej twej postaci, słodki chłopcze,  
O wiosnie każdej przybywa powabu,  
Nadarmo pragnie się dziś ciebie wstrzymać,  
Podziwiać, jakim jesteś, i zawczasu  
Żrenice przyszłym upoić obrazem.  
Posły nadejdą niebawem, rozliczne  
Dary dźwigając, by dzień ten uświęcić.

*Elpenor*

Niecierpliwości wybacz! Wiele nocy,  
Bezsenny, już czuwałem i w poranek  
Biegłem, wspinając się na skałę, aby  
Dojrzeć, czy w dali, tam, w kotłi ie mglistej,  
Co nie majaczy,  
Tak, jakbym pragnął patrzeniem nadejście  
Przyspieszyć. Oni nie nadchodzą.  
Teraz, nareszcie, kiedy są już blisko  
Nie zdzierzę, pójdę naprzeciw.  
Posłuchaj! Słyszysz tupot koni? Krzyki?

*Polymetis*

O, nie, mój książę, zostali daleko.

*Elpenor*

Powiedz, przywiodłeś pięknego wierzchowca?

*Polymetis*

Siwka — jest lśniący i chyży, jak blask.

*Elpenor*

Siwka, powiadasz? Czyli mam ci wyznać?  
Czy mogę zwierzyć? Wolałbym karego!

*Polymetis*

Jakiego pragniesz, dosiędziesz, mój książę.

*Elpenor*

Koń ciemnej maści ognisty jest, ledwo  
Ustać potrafi. Jeśli bowiem kiedy  
Do serca ma mi przylgnąć, niech z trudem  
Wędzidło znosi, niech przegania wiatry,  
W galop się rzuca przed szumiący sztandar,  
Włóczni nie płoszy się i rzy donośnie,  
Kiedy trombity zawrzasną do boju.

*Polymetis*

Jak widzę, książę, znałem cię wybornie,  
Nie omyliły mnie przeczucia. Rodzic  
Wahał się długo, co też ma ci przesłać.  
Nie troszcz się, panie, rzekłem, strojów oraz  
Naramienników i ozdobnych kolców  
Nie zbraknie jemu; oręż mu prześlij,  
Oręża wiele i rzuć miecz pod nogi,  
Stary i rdzawy miecz!  
Jeśli nie zdoła go ująć, pięść młoda  
Zawrze się mocą przyszłą i nadzieja  
Żrenice ostro rozewrze!

*Elpenor*

O, szczęście,  
Długo czekany dniu! Mój przyjacielu,  
Jakże odwdzięczę, że tak mnie przeczułeś,  
By zaspokoić życzenia najskrytsze!

*Polymetis*

Wszyscy czekamy skinień twoich, panie,  
I dobroczyńcą możesz być nas, mnogich.

*Elpenor*

Aby napewno? To jest wszystko moje?  
Przyniosą wszystko?

*Polymetis*

Tak, i wiele więcej.

*Elpenor*

Więcej?

*Polymetis*

Czego nie kupi złoto, ani miecz  
Nie zdzierzy nigdy, choćby najmocniejszy,  
Z czem trudno rozstać się i w czego cieniu  
Tak miło spocząć, dumną złożyć skroń.

*Elpenor*

O, wyznaj, jaki to skarbi i nie pozwól,  
Bym gubił się w domysłach!

*Polymetis*

Pacholęta,

Młodzieńcy rodów najprzedniejszych, którzy  
Kroczą ku tobie dzisiaj: słuchaj, serce  
Bije ich pełne ufności, nadziei,  
A ich oblicza, wzniesione wesoło,  
Zapowiadają te tysiączne rzesze.  
Które czekają z dygotem.

*Elpenor*

Czyli od rana samego wystają  
W ulicach?

*Polymetis*

Każdy zapomina troski,  
Mozołu i frasunku. Już odbiega

Roboty pilnej, aby ciebie ujrzeć.  
Wyczekujący, dziś powtórnie wita  
Dzień, który ciebie zrodził.

*Elpenor*

Z jakim szczęściem  
Szczęśliwych witać będę!

*Polymetis*

Niech spojrzenie  
Głęboko w duszę twoją się zaryje,  
Wzrok taki bowiem nie wita monarchy,  
I to, co starzec baje, wspominając  
Czasy ubiegłe, a młodzieniec roi,  
Gdy myśli o przyszłości, w piękny wieniec  
Wije nadzieja i nad czołem wznosi  
Tego, co stąpa w nadchodzące dni.

*Elpenor*

Jak mego ojca, iłować mnie będą  
I czcić!

*Polymetis*

Najchętniej więcej ci przyrzekną.  
Sędziwy władca przytłumia nadzieje  
I wiąże wokół serc, co kamienieją.  
Lecz młody książę porusza życzenia,  
Jak pług porusza ziemię, twardy ugór,  
I wystrzelają kielki zielonkawe,  
A wtedy pierś się rozszerza na nowo,  
Jako po długim, jak po dusznym śnie.

*Elpenor*

Uproszę ojca, by chleby i wino  
I z trzód, co zdoła bez trudu — niech rozda  
Ludowi.

*Polymetis*

Pewnie prośbę tę wypełni.  
Rzadko pospołu biją serca. Każdy  
W osamotnieniu dba jeno o siebie.  
Wściekłość i poryw gniewu niedorzeczny  
O wiele częściej przepalają ludy,  
Niżeli miłość. A dzisiaj obaczysz,  
Jako ojcowie swe łagodne dłonie  
Złożą na skronie synaczków, a pyszny  
Nie umknie wzroku, gdy nań spojry rab.  
Urazy puszcza w niepamięć i swary,  
Jak wietrzyk, który wionie, marszcząc wody,  
A oto leżą spokojnie w bezruchu.  
Bo dziś harmonja swą niewinną ręką  
Skinie i festyn bluszczami przybierze,  
Jak w owe złote we wspomnieniu dnie,  
Gdy Saturn czuwał ponad młodą ziemią,  
Jak uśmiechnięty ojciec.

*Elpenor*

Ilu,

O, powiedz, ilu towarzyszków miłych  
Mieć będę? Tutaj miałem tylko trzech.  
Tak, dobrzy chłopcy, zgodni i ulegli,  
Niedługo trwały między nami spory,  
Lecz, kiedy będę miał ich mnóstwo, wtedy  
Podzielę ich na wrogów, sprzymierzeńców.  
Ten wartę trzyma, ów czyha w zasadzce,  
Biwakujemy, rozgrywamy bitwy,  
A ja przywódcą! Powiedz, znasz mój hufiec?  
Co to za chłopcy?

*Polymetis*

Och, gdybyś mógł ujrzeć,  
Jak się tłoczono i z jakim zapalem

Każdy chciał pierwszy być, by służyć tobie,  
Najszlachetniejszych to synowie rodów,  
To huf twój wierny. A jest ich dwunastu.

*Elpenor*

Czy wolno dobrać mi innych?

*Polymetis*

Zapewne.

*Elpenor*

Wówczas rozdzieleni sam i najlepsi  
Będą po mojej stronie.  
Nieprzewidzianą drogą poprowadzę,  
Wspinać się będą, by na szczycie dopaść  
I wymieść z twierdzy skalnej mego wroga!

*Polymetis*

Tym duchem ożywiony wkrótce, książę,  
Młodzików w bój powiedziesz dla igraszki,  
A potem cały lud ku celom ważnym.  
Pociągniesz wszystkich. W młodzieńczej źrenicy  
Już płonie szybki blask i twego oka  
Czeka zwierciadła: na śmierć i na życie  
Stateczny doświadczeniem mąż za tobą kroczy  
I nawet starzec roztropnej mądrości  
Chętnie wyrzeka się, powraca oto  
Dawnemi ścieżki w dawne, bujne życie.  
Te skronie moje siwiejące ujrzysz  
Zawsze nad sobą, gdy miotać cię będzie  
Burza, i trzaskać gromy, piersi moje  
Ostatnią kroplę wystudzonej krwi  
Wytoczą, gdy się, być może, pomylisz.



*Elpenor*

Co mówisz? Nie pojmuję. Nie zawiodę  
Nigdy was, pierwszy na szwank się wystawię  
I ufność waszą zdobędę przemocą.

*Polymetis*

Już bóstwa naród cały pouczyły,  
By patrzył w ciebie, jak w gwiazdę wschodzącą.  
Łatwo pozyskać i utracić łatwo.

*Elpenor*

Nikt mi nie wydrze. I każdy waleczny  
Podzieli męstwo z mojem. Czekam dzielnych.

*Polymetis*

Berło twej władzy świecić będzie jasno  
Nietylko ponad szczęśliwymi. Nędza,  
Skulona w cichym kącie, skryta boleść  
Przytłacza wielu. Zda się, potępieni,  
Gdyż szczęście od nich odwróciło twarz.  
A przecie, kiedy stąpać zaczniesz w blasku,  
W trop, całą chmarą, pójdą twoją drogą  
Ukradkiem, prośba ich dotrze do uszu  
Bóstw zasłuchanych i wielkiem błaganiem  
Ci słabi wesprą twoją siłę młodą.

*Elpenor*

Już słyszę, słyszę okrzyki wesela  
I wrzask trombity tętni z dolin. Prędzej!  
Pozwól, nie wstrzymuj! Niech ku nim wybiegnę,  
Tam stromą ścieżką. U dołu falują!  
Bywajcie! Za mną chodź! Czemu tak zwlekasz?

## SCENA III

### *Polymetis*

Jak miło uszom chłopca brzmi pochlebstwo!  
Przecie niewinne pochlebstwo nadziei.  
Jeśli wypadnie nam chwalić cię kiedyś  
I wzrok obracać obłudny, o, wtedy  
Załamiem ręce. Szczęsny ten, kto zdala  
Od wielkich świata tego, niepoznany,  
W spokoju pędzi dni. Ich boleści  
Zaledwo zmacą ustronie, a radość  
Podzielić może bez miary.  
O, biada, biada mi dzisiaj postokroć!  
O, piękny chłopcze, czyli będziesz żył?  
Mamże potwora, który cię rozszarpać  
Zdoła, na silnym powstrzymać łańcuchu,  
By nie wychynał z czeluści, krwiożerczy?  
Królowej czyż mam wyznać, jaką zbrodnię  
Twój rodzic spełnił, po dziś niepomszczoną?  
Czy mnie pochwalisz, gdy zmilczę? Czy wierność,  
Zamknięta w piersi, zazna twej wdzięczności?  
Ja, stary, będę ci ciężarem. Chętnie  
Przelotnem ręki splacisz uściśnieniem  
I miniesz. Inni porwą cię za sobą,  
A rodzic władać będzie ciężkiem berłem.  
O, nie! jeżeli słońce ma nie zgasnąć,  
Ród władców spór okropny przepołowi,  
A gdy nieszczęście ramieniem Gorgony,  
Tem wielokrotnem ramieniem trzew sięgnie,  
Wtedy poczują, jak w pradawnych czasów  
Skłębionem łonie, naszą nieodzowność.  
Jak rdzą przezarty miecz, chwycą ze słupów,  
Szorować będą, póki nie załsnimy.  
O, larwy czynów strasznych! O, żalobne

I uwięzione w lochach! Pomsta żyje!  
Na światło dnia! Duszny opar  
Niech tron oplącze, na grobach wzniesiony,  
Niechaj zajęczą truchła, wstaną gruzy,  
I przerażenie pierś wyziębi! Gromów  
Na zwisłe głowy!  
Słyszę zgrzytanie zębów, ramiona,  
Nadarmo wyciągnięte, płochą łowią  
Nadzieję!

GEORG BÜCHNER

LEONCE I LENA

KOMEDJA

Król Piotr

Książę Leonce

Księżniczka Lena

Valerio

Guwernantka

Ochmistrz

Przewodniczący Rady Stanu

Kaznodzieja nadworny

Wójt

Bakalarz

Rozetta

Służba, Radcowie Stanu, Chłopi i t. d.

AKT I

*„O, gdyby błaznem być.*

*Jedyna ma ambicja, to pstry kubrak“*

*(„Jak się wam podoba“)*

SCENA I

*Ogród.*

*Leonce niedbale spoczywa na ławce. Ochmistrz.*

LEONCE Czego waszmość ode mnie chcesz? Przygotować mnie do przyszłego zawodu? Robota pali mi się pod palcami. Nie wiem, do czego naprzód przyłożyć rąk. Przypatrz się acan, w pierw muszę trzysta sześćdziesiąt razy opluć ten oto kamień. Waszmość tego nie wypróbował? Szkoda, niebylejaka to rozryw-

ka. — A teraz spójrz waść na tę garść piasku! (*Sięga po piasek, podrzuca w powietrze i chwytą wierzchem dłoni*). — Oto podrzucam ją do góry. A może się założymy? Ile ziarenek mam na ręku? Liczba parzysta, czy nieparzysta? Jakto, acana się uchyla? Jest poganinem? Nie wierzy w Boga? Zazwyczaj zakładam się sam z sobą, całe dnie, całe dnie. Jeśli waszmość znajdzie kogo, kto miałby niekiedy ochotę pójść ze mną o zakład, wielce mnie zobowiąże. Nadto — gubię się w dociekaniach, jakby to uskutecznić, aby choć raz spojrzeć na własną głowę. O, gdyby raz jeden spojrzeć na siebie z góry! To jeden z moich ideałów. Poprzestałbym na tem. I jeszcze — i jeszcze — nieskończenie wiele w tym rodzaju. Czyż jestem próżniakiem? Brak mi zatrudnienia? — O, tak, to smutne...

OCHMISTRZ Bardzo smutne, Wasza Wysokość.

LEONCE Ze chmury od trzech tygodni płyną z zachodu na wschód. Ogarnia mnie melancholja.

OCHMISTRZ Bardzo ugruntowana melancholja.

LEONCE Czemu, na miły Bóg, nie zaprzecza mi aść? Acana niezawodnie wzywają obowiązki? Przykro mi, że tak długo go zatrzymałem. (*Ochmistrz oddala się z głębokim ukłonem*). Przyjmij waszmość powinszowania, nogi waćpana tworzą w ukłonie figurę niezapomnianą.

LEONCE (*sam jeden, wyciąga się na ławce*). Pszczoły tak gnuśnie kołyszą się na kwiatach, blask słońca tak leniwie włóczy się po ziemi. Cała ziemia tarza się w lenistwie. — Próżniactwo, to początek wszystkiego złego. Czegóż z nudów nie imają się ludzie! Zatapiają się w wiedzy z nudów, modlą się z nudów, kochają, żenią i mnożą się z nudów i wreszcie umierają z nudów — a to właśnie jest pełne humoru — czynią to z najpoważniejszymi mianami, nie domyślając się, dlaczego, a Bóg jeden raczy wiedzieć, o czem też roją. Wszyscy ci bohaterowie, genjusze, dumie, święci, grzesznicy, przykładni ojcowie rodzin, to w gruncie rzeczy wyrafinowani wałkonie.—Czemuż ja właśnie wiem o tem? Czemu nie

potrafię brać siebie na serjo i żalną kukłę przywdziać we frak i dać jej parasol do ręki, aby była wielce stateczna i wielce pożyteczna i wielce moralna? Nędzny ze mnie wesolek! Czemu mego konceptu nie potrafię wygłosić z miną poważną, nie mrużąc oka? — Zazdrościłem jegomościowi, który mnie opuścił, o mało go nie wygrzmociłem z zawiści. Och, móc być kimś innym! Choćby przez chwilę. Jak ten gamoń umyka! Gdybyż cokolwiek pod słońcem mogło mnie jeszcze skłonić do takiego biegu!

*(Valerio wchodzi, nieco podchmielony)*

VALERIO *(staje tuż przed księciem, przyklada palec do nosa i wlepia weń wzrok)*. Tak!

LEONCE *(podobnie)*. Bez wątpieni

VALERIO Pojąłeś mnie aść?

LEONCE Najzupełniej.

VALERIO Tedy pomówmy o czem innem. *(Kładzie się na trawie)*. Narazie wyciągnę się na trawie. Nos mój niechaj rozkwitnie wysoko między źdźbłami, a ja pławić się będę w uczuciach rzewnych i romantycznych, kiedy pszczoły i motylki zakołyszą się na nim, jak na róży.

LEONCE Ależ, najmilszy, nie chrap tak potężnie, bo zamorzysz głodem pszczoły i motyle, tak olbrzymie niuchy wciągając z kwiatów.

VALERIO Ach, mój panie, jakże wrażliwy jestem na przyrodę! Tak ślicznie sterczy trawa, iż człowiek pragnie być bydłem, aby się nią nazreć, a potem odnowa człowiekiem, by spożyć wołu, który zżarł taką trawę.

LEONCE I ty, nieszczęsny, nie możesz, bodajże, uporać się z ideałami.

VALERIO O, Boże, od ośmiu dni tropię ideał pieczeni i nigdzie nie mogę go znaleźć *(Nuci)*

Karczmareczko za okienkiem,

Wynijdz do ogródka,

Żołnierzyki przeciągają,

Nie pomoże kłódka.

Spójrz waść na mrówki! Najmilsze moje! To godne podziwu, jaki instynkt tkwi w tych drobnych stworzeniach, co za zmysł ładu, jaka pilność... O, panie, istnieją tylko cztery sposoby, aby zarobić pieniądze w sposób godziwy: znaleźć je, wygrać na loterii, odziedziczyć lub, w imię Boże, ukraść, jeśli kto dosyć jest sprytny, by nie podlegać wyrzutom sumienia.

LEONCE Te zasady pozwoliły ci dożyć lat wcale późnych, a przecie nie zginąłeś z głodu, ani nie skończyłeś na szubienicy.

VALERIO (*wlepiając weń tępy wzrok*) Tak, mój panie, i to utrzymuję niezachwianie: kto inaczej zdobywa pieniądze, jest łajdakiem.

LEONCE Albowiem kto pracuje, jest subtelnym samobójcą, a samobójca jest zbrodniarzem, a zbrodniarz jest łotrem. Zatem: kto pracuje, jest szubrawcem.

VALERIO Tak, a nie inaczej! — A mimo to mrówki są użytecznymi robaczkami. Skądinąd nie tak znów pożyteczne, jak w wypadku, gdyby nie czyniły żadnej szkody. Zważywszy to wszystko, szanowne robactwo, nie mogę odmówić sobie przyjemności, aby niektórym z was stopą nie pokiereszować tyłka, nie utrzcę nosa i nie przyciąć pazurków...

## SCENA II

*Poprzedni. Dwaj policjanci.*

I POLICJANT Tuś mi ptaszku! Ani kroku!

II POLICJANT Jest ich dwóch.

I POLICJANT Nie wypuszczać z rąk. Gotowi uciec.

II POLICJANT Panie władzo, myślę, że nie uciekają.

I POLICJANT Zatem obu musimy poddać śledztwu. Moi panowie! Szukamy kogoś, pewnego osobnika, figurę, delikwenta, łotrzyka! (*po pauzie*) Popatrzno, nikt się z nich nie czerwieni?

II POLICJANT Nikt się z nich nie zaczerwienił.

I POLICJANT Zatem musimy inaczej ich zbadać. Gdzie list gończy, karta śledcza, certyfikat? (*II policjant wyjmuje papier*

z kieszeni, podaje go). Nie spuszczaaj oka z osobników — przeczytam: „Człowiek“ —

II POLICJANT Nie zgadza się, jest dwóch —

I POLICJANT Ośle! — „chodzi na dwóch nogach, ma dwoje ramion, ponadto jedno usta, dwoje oczu, dwoje uszu. Znak szczególny: jest wysoce niebezpiecznym indywiduum“

II POLICJANT Dotyczy obu. Aresztować?

I POLICJANT Poprawdzie, to grubo ryzykowne; my też jesteśmy tylko dwaj. Lepiej wygotować raport. To wypadek bardzo kryminalistycznie zawity lub o bardzo zawitej kryminalistyce. Kiedy upiję się bowiem i zwałę się na łóżko, to jest moja sprawa prywatna i nie obchodzi nikogo. Ale jeśli łóżko przepiję, to jest to sprawa — czyja, łobuzie?

II POLICJANT Hm, kiedy nie wiem.

I POLICJANT Ja także nie wiem, ale właśnie to jest sedno zagadnienia.

### SCENA III

*Leonce. Valerio.*

VALERIO I niechże kto ośmieli się zaprzeczyć Opatrzności! Pomyśleć, na co zdać się może pchła. Gdyby tej nocy nie oblażył mnie pchły, rankiem nie wyniosłbym posłania na słońce; a gdybym go nie był wyniosł na słońce, nie ocknąłbym się tuż koło oberży „pod księżycem“; a gdyby słońce i księżyc nie oświeciły go, z kołdry mojej nie mógłbym być uczynić loszku i upić się winem naumór. A gdyby to wszystko nie było się stało, nie znalazłbym się w waszem towarzystwie, wielce szanowne mrówki, przez was kłasy i wysuszany przez słońce, jeno krajałbym teraz pieczeń w plasterki i popijał wino z butelki — w oberży mianowicie.

LEONCE Budujący tryb życia!

VALERIO Nietyle budujący, ile biegły. Gdybym w przebiegu tej wojny nie zbiegł przed biegłymi w strzelaniu, życie moje by-



łoby podziurawione. Na skutek tego ocalenia ludzkiej egzystencji nabawiłem się suchego kaszlu, który skłonił doktora do opinii, że bieganina zbiega jest biegunką, a galopowanie galopującymi suchotami. Ponieważ uczułem zarazem, że ograbiono mnie do suchej nitki, zacząłem suszyć i nabawiłem się gorączki, podczas której, aby zachować ojczyźnie niezastąpionego obrońcę, musiałem spożywać codziennie pożywną zupę, wyśmienitą pieczeń, wyborny chleb i popijać znakomitem winem. (*Pauza*). O, rozpaczy! Niepodobna skoczyć z wieży kościelnej, aby nie skrzyć karku. Niepodobna zjeść czterech funtów czereśni wraz z pestkami, aby nie dostać boleści. Tak, mój panie, mógłbym zasiąść w kącie i śpiewać od rana do wieczora: „Tam, na miedzy, mucha siedzi” — i tak do końca moich dni.

LEONCE Stul pysk, twoja piosenka przyprawić może o pomieszanie zmysłów.

VALERIO Niezgorsza perspektywa. Pomylenie! Obląkanie! Błazen! Kto zechce mi odstąpić swoje błazeństwo za mój rozsądek? — Ha, otom Aleksander Wielki! Już mi słońce splata złotą koronę na włosach, i jakże błyszczy mój mundur! Wodzu naczelnym, pasikoniku, niechaj wojska ruszą do ataku! Panie ministrze finansów, pajaku, trzeba mi koniecznie pieniędzy! Miła damo dworu, ważko, co też porabia droga moja małżonka, tyka przy drodze? Ach, zacny mój lejbmedyku, kantarydo, nie mogę się doczekać następcy tronu. A w nagrodę tych rozkosznych urojeń otrzymuje się dobrą zupę, wyborne pieczyste, znakomity chleb, wygodne łóżko i dostępuje ostrzyżenia włosów za darmo — mianowicie w domu zdrowia, podczas gdy ja z całym moim rozsądkiem mógłbym nająć się conajwyżej do wyprawy na to drzewko wiśniowe, aby — no co — aby?

LEONCE Aby zawstydzić wiśnie dziurami, przeświecającymi w twoich portkach! Ale, o, szlachetny, twoje zajęcie, profesja, rzemiosło, stan cywilny, kunszt wyzwolony?

VALERIO (*z godnością*) Mój panie, mam niewyczerpane zajęcie przechadzania się, gdzie mnie oczy poniosą, mam niepospoli-

tą biegłość w próżnowaniu, posiadam niesłychaną biegłość w lenistwie. Żadna zadra nie hańbi moich czystych dłoni, gleby nie napoiłem ni jedną kroplą potu, jestem w pracy niepokalaną dziewicą; a gdyby mnie to zanadto nie utrudzało, zadałbym sobie trud, aby wyjaśnić waćpanu szczegółowiej moje zasługi.

LEONCE (*z zabawnym entuzjazmem*) Pójdź w ramiona moje! Zali jesteś jednym z tych błogosławionych, którzy bez mokołu, z czołem nieposzlakowanym, stąpają przez pył gościńcem życia i lśnjącymi stopami, podobni bóstwom, wkraczają na Olimp? Chodź, o, chodź!

VALERIO (*śpiewa, odchodząc*) Tam, na miedzy, mucha siedzi, mucha siedzi, mucha siedzi.

#### SCENA IV

##### *Komnata.*

*Król Piotr, ubierany przez dwóch kamerdynerów.*

PIOTR (*podczas ubierania*) Człowiek musi myśleć, a ja muszę myśleć za moich poddanych; bo oni nie myślą, nieboracy, nie myślą. Substancja jest bytem, a byt, to — ja. (*Biega po pokoju*). Zrozumiano? Byt jest bytem, pojęliście? Teraz skolei moje atrybuty, modyfikacje, akcydensy: gdzie moje trzewiki, moje spodnie? — Wstrzymajcie się, wolna wola stoi otworem. Gdzie jest moralność, gdzie mankiety? Kategorie przemieszane straszliwie: o dwa guziki za dużo zapięto, tabakierka tkwi w prawej kieszeni; cały mój system w gruzach! — Ha, co znaczy guzik w chusteczce? Gadaj, co znaczy guzik, o czym miałem pamiętać?

I KAMERDYNER Kiedy Jego Królewska Mość raczyła włożyć guzik do chustki, pragnęła —

PIOTR No?

I KAMERDYNER O czemś sobie przypomnieć.

PIOTR Zawiała odpowiedź! He, a co on sądzi?

II KAMERDYNER Jego Królewska Mość pragnęła sobie o czemś przypomnieć, kiedy raczyła włożyć guzik do chustki.

PIOTR (*biega tam i spowrotem*) Co? Co takiego? Ci poczciwcy konfundują mnie, jestem bezradny, najzupełniej bezradny.

(*Wchodzi lokaj*)

LOKAJ Sire, Rada Stanu zebrała się.

PIOTR (*radośnie*) Ot co, ot co. — Chodźcie, panowie! Stąpajcie równo, symetrycznie. Czy nie jest bardzo gorąco? Wyjmijcie wasze chustki i wytrzyjcie sobie pot z czoła. Zawsze tak bardzo jestem zmieszany, kiedy mam przemawiać publicznie. (*Wychodzą*).

*Król Piotr. Rada Stanu.*

PIOTR Mili moi wasale, wiemi notable, pragnę was powiadomić i zawiadomić — gdyż, albo mój syn ożeni się, albo nie (*przykłada palec do nosa*) albo, albo — chyba mnie pojmujecie? Tertium non datur. Człowiek musi rozmyślać. (*Stoi chwilę zadumany*) Kiedy tak przemawiam na głos, nie wiem właściwie, kto to gada, ja, czy kto inny, to bardzo mnie trwoży. (*Po długim milczeniu*). Ja jestem ja. — Co waszmość sądzi o tem, prezydencie?

PRZEWODNICZĄCY (*powoli i z godnością*) Wasza Królewska Mości, być może jest tak, być może, jest zgoła odwrotnie.

CAŁA RADA STANU (*chóralnie*) Być może jest tak, być może, jest zgoła odwrotnie.

PIOTR (*czule*) O, mędracy moi! — O czem to była w istocie mowa? O czem pragnąłem przemawiać? Jakże krótką masz waszmość pamięć, prezydencie, przy tak uroczystej okazji! Zamykam sesję.

(*Odchodzi uroczyście, za nim cała Rada Stanu*)

## SCENA V

*Sala ozdobiona z przepychem. Płoną światła.*

*Leonce wraz z kilkoma lokajami.*

LEONCE Czy zawarte wszystkie okiennice? Zapalcie świece! Żegnaj dniu! Pragnę nocy, głębokiej ambrozyjskiej nocy. Ustaw-

cie lampy pod kryształowe umbry wśród oleandrów, niech po-  
błyskują sennie, jak źrenice dziewczęce spod rzęs, wygiętych, jak  
liście. Przybliżcie krzewy różane, aby wino, jak krople rosy, spry-  
skało ich płatki. Muzyki! Gdzie są wiole? Gdzie Rozetta? —  
Precz! Precz z wami!

*(Lokaje odchodzą. Leonce wyciąga się na łożu. Wchodzi Rozetta  
w stroju rokokowym. Zdaleka słyhać muzykę).*

ROZETTA *(zbliza się zalotnie)* Leonce!

LEONCE Rozetta!

ROZETTA Leonce!

LEONCE Rozetta!

ROZETTA Wargi twoje ospałe. Od pocałunków?

LEONCE Od ziewani !

ROZETTA Och!

LEONCE Ach, Rozetto, ciąży mi straszliwie brzemię...

ROZETTA Wolno spytać?

LEONCE Bezczynności...

ROZETTA I miłości?

LEONCE Bagatela!

i ROZETTA *(obrażona)* Leonce!

LEONCE Bezmierny trud.

ROZETTA Lub próżniactwo.

LEONCE Masz słuszność, jak zawsze. Mądra z ciebie dziew-  
czyna i bardzo cenię sobie twój rozumek.

ROZETTA Kochasz mnie zatem z nudów?

LEONCE Nie, nudzę się, bowiem kocham ciebie! Ale nudę sa-  
mą kocham, jak ciebie. Jesteście nierozdzielne. O, dolce far-  
niente! Śnię ponad twojemi oczami, jak nad głębokiem źródłem  
cudu, pieśczoła twoich warg usypia, jak szumiące fale *(obejmu-  
je ją)*. Chodź, nudo najmiłsza, pocałunki twoje są rozkosznem  
ziewaniem, a twoje kroki, jak uroczy hiatus —

ROZETTA Kochasz mnie, Leonce?

LEONCE Ach, czemużby nie?

ROZETTA I na zawsze?

LEONCE To wielkie słowo: na zawsze! Jeśli cię kochać będę jeszcze pięć tysięcy lat i siedem miesięcy, czy to nie wystarczy? Wprawdzie o wiele to mniej, niż zawsze, ale niegorszy szmat czasu, i czasu nie zabraknie nam do kochania.

ROZETTA Albo czas ukradnie nam nasze kochanie.

LEONCE Albo miłość ukradnie nam czas. Tańcz, Rozetto, tańcz, niechaj czas mija, jak mijają drobne twoje, śliczne twoje stopy.

ROZETTA Moje stopy najchętniej wyszłyby poza czas.

*(Tańczy i śpiewa)*

O, moje stopy, musicie tańczyć znużone,

W barwnych cizemkach,

Pragnące spocząć, gdzie mogiłki zielone.

Bo to jest męka.

O, moje usta, musicie dyszeć, spłonione,

Pieszczone wargi,

Pragnące zamrzeć i kwitnąć, różane,

Bez skargi.

O, moje oczy, musicie płonąć, wpatrzone

W płomienie świecy,

Pragnące usnąć i spać, splakane,

Nie patrzeć więcej.

LEONCE *(podczas tego sennie)* O, miłość zamierająca piękniejsza jest od tej, która rozkwita. Jestem podobny rzymianinowi; po wybornej uczcie złote ryby grają na deser barwami zgonu. Jakże obumiera rumieniec jej policzków, jak cicho wypala się oko, jak delikatnie bije i opada tętno! Adio, adio, ślicznotko moja, umiłuję cię umarłą. *(Znów zbliża się Rozetta)*. Łzy, Rozetto? Co za epikureizm — móc płakać. Stań w blasku, aby te przepyszne krople zalśniły jak kryształy, wspaniałe z nich będą diamenty. Śliczny mogłabyś mieć naszyjnik.

ROZETTA Te diamenty kłują mnie w oczy, Leonce. *(Chce go objąć)*.

LEONCE Uwóżaj! Moja głowa! Tam pogrzebałem naszą mi-

łość. Spójrz poprzez okna moich oczu. Widzisz, jak trupio piękna jest ta żalosna miłość? Czy widzisz dwie białe róże na jej jagodach i dwie czarne u piersi? Nie potrącaj mnie, aby nie złamało się jej kruche ramię, byłaby wielka szkoda. Muszę głowę równo trzymać na barkach, jak grabarz trumienkę.

ROZETTA (*zartobliwie*) Wesołku!

LEONCE Rozetta! (*Rozetta przedrzeźnia go, robi grymas*).  
Dzięki Ci, o, Boże! (*przesłania oczy*).

ROZETTA (*przełęczniona*) Spójrz na mnie, spójrz na mnie, Leonce!

LEONCE Przenigdy.

ROZETTA Raz jeden!

LEONCE O, nie! Nie zwiedzisz mnie! Niewiele brakło, a upragniona moja miłość narodziłaby się odnowa. Rad jestem, że ją pogrzebałem. Wrażenie — zachowam.

(*Rozetta oddala się zwolna i ze smutkiem, śpiewa, odchodząc*)

Sierotka jestem, opuszczona,

Ach, miły Boże,

Tak żal mi nas, tak żal mi

Któż dopomoże?

LEONCE (*sam jeden*) Miłość, szczególna to rzecz. Calutki rok spoczywa się, śniąc na jawie, a któregoś ranka budzi się człowiek, wypija duszkiem szklankę wody, odziewa się na nowo, dłonią przesuwając po czole: i namyśla się — namyśla. Boże mój, ileż to trzeba kobiet, aby zgóry nadół wziąć pełnym głosem rejestr miłości? Ledwo jedna zdoła niekiedy jeden wypełnić ton. Czemu opar ponad naszą ziemię jest pryzmatem, który rozszczepia w tęczę biało pałający promień miłości? — (*Pije*). W jakiej butli, do licha, zamknięto wino, które mogłoby mnie dzisiaj upoić? Czyż nawet tego nie potrafię? Więdnę, jak pod pompą tłoczącą. Powietrze tak ostre i przejrzyste, że zbiega mnie dreszcz, jakbym szedł na szlichtadę w atlasowych pludrach. — Moi panowie, moi panowie, czy aby wiecie, kim był Caligula i Nero? Mnie to dobrze wiadomo. — Chodź, miły mój Leonce, wygłoś swój monolog,

będę się przysłuchiwał z uwagą. Życie moje rozdziawia się szerokim ziewaniem, jak wielki, biały arkusz papieru, który powinienem zapisać, ale nie zdołam nakreślić ni jednej litery. Głowa moja jest pustą salą balową, trochę zawiędłych róż i wymiętych wstążek wala się tu na posadzce, pęknięte skrzypce w kącie, ostatni tancerze zdjęli maski i przypatrują się sobie śmiertelnie zmęczonymi oczami. Codziennie odwracam siebie dwadzieścia cztery razy, jak rękawiczkę. O, znam siebie napamięć, wiem, co myśleć będę i marzyć za kwadrans, za osiem dni, za rok. Boże, cóż zawiniłem, że każesz mi, jak sztubakowi, tak często przepowiadać lekcję?

Brawo, Leonce, brawo! (*klaszcze*). Niezgorszą sprawia mi przyjemność, kiedy tak nawołuję siebie. He! Leonce! Leonce!

VALERIO (*spod stołu*) Wasza Wysokość zdaje się na najlepszej drodze, aby stać się błaznem!

LEONCE Kiedy przyjrzeć się temu pod światło, i mnie się tak wydaje.

VALERIO Proszę zaczekać chwilę, zaraz pogadamy o tem wyczerpująco. Muszę przedtem posilić się pieczenią, którą zwędziłem w kuchni, i gołnąć łyk wina z książęcego stołu. Niebawem skończę.

LEONCE Ależ mlaska! Ten hultaj przyprawia mnie o uczucia sielankowe; na nowo potrafiłbym rozpocząć od spraw najprostszych, mógłbym jeść ser, pić piwo, palić tytoń. Uwijaj się, nie chrząkaj tak i nie szczękaj kłami!

VALERIO Szacowny Adonisie, czy waćpana obleciał strach o jego uda? Proszę przestać się niepokoić, nie jestem miotlarzem, ni bakałarzem, nie potrzeba mi pretów do różeg.

LEONCE Konceptu nigdy ci nie brak.

VALERIO Czego życzę z całego serca Waszej Książęcej Mości.

LEONCE Abym się nie lenił cię wychłostać? Tak bardzo dbasz o swoją edukację?

VALERIO O, niebiososa, łatwiejsze jest narodzenie, niż skarcenie pedagogiczne. To żalosne, jakie brzemień narzuca nam cudza brze-

mienność. Od czasu, kiedy matka moje była w błogosławionym stanie, mój stan cywilny nie był błogosławiony. Jakże niewygodnie wypadło mi leżeć, odkąd zległa, biedaczka!

LEONCE Nie bądź tak czułościowy, jeśli nie chcesz wypróbować mojej ręki. Twoja wrażliwość może cię przyprawić o bardzo dotkliwe wrażenia.

VALERIO Kiedy matka moja żeglowała wokół Przylądka Dobrej Nadziei...

LEONCE A twój ojczulek roztrzaskał się koło Kap Horn...\*)

VALERIO Słusznie, gdyż był stróżem nocnym. A przecie tak często nie przykładał rogu do ust, by zatrzeć, jak przybierał w rogi rodziców szlchetnych synów.

LEONCE Mój drogi, posiadłeś dar niebiańskiej bezczelności. Ręka mnie świerzbi, aby się zapoznać z twoją facjatą.

VALERIO Oto nieodparty argument ad personam.

LEONCE (*zamierza się nań*) Uważaj na twoją personę. To argument niezbity.

VALERIO (*umyka, Leonce potyka się i pada*) A waćpan jest dowodem, który trzeba dopiero udowodnić; potyka się bowiem o własne swoje przesłanki, które również są do udowodnienia. Są to łydki wysoce nieprawdopodobne i wielce problematyczne uda.

(*Wkracza Rada Stanu. Leonce siedzi na ziemi. Valerio*).

PRZEWODNICZĄCY Wasza Wysokość wybaczy...

LEONCE Jak sobie samemu! Jak samemu sobie! Wybaczam sobie wielkoduszność, że was wysłuchuję spokojnie. Moi panowie, czy nie zechcecie zająć miejsc? — Co za miny! Proszę zasiać na ziemi i nie krępować się. To i tak ostatnie miejsce, jakże otrzymacie w darze, chociaż nikomu nic z tego nie przyjdzie, wyjąwszy grabarza.

PRZEWODNICZĄCY (*skonfundowany, pstryka palcami*) Wasza Wysokość raczy...

---

\*) Gra słów nie do przetłumaczenia. Aluzja do rogacza.



LEONCE Niech acan przestanie pstrykać palcami, jeśli pragnie uniknąć morderstwa.

PRZEWODNICZĄCY *(coraz silniej pstrykając)* Zechce łaskawie uwzględnić...

LEONCE Wielki Boże, włóż acan ręce do kieszeni, lub siądź na nich. Język mu skołowaciał. Zbierz aść zmysły.

VALERIO Nie wolno dzieciom przeszkadzać, gdy siusiają, mogą nieboraczki dostać zatwardzenia.

LEONCE Człowieku, opanuj się. Pomyśl o twojej rodzinie i o państwie. Jeśli zadławisz się przemówieniem, może cię szlag trafić.

PRZEWODNICZĄCY *(wyciąga papier z kieszeni)* Pozwoli Wasza Wysokość...

LEONCE Co? Acan już czytać umie? Zatem, w imię Boże...

PRZEWODNICZĄCY Jego Królewska Mość raczy powiadomić Waszą Wysokość, iż jutro należy oczekiwać przyjazdu wysoko urodzonej narzeczonej Waszej Wysokości, księżniczki Leny.

LEONCE Jeżeli oczekuje mnie narzeczona, najchętniej pozwolę jej czekać. Wczorajszej nocy widziałem ją we śnie, jej oczy tak olbrzymie, iż pantofelki mojej Rozetty nie ustępowały łukom jej brwi, a na policzkach nie dołki dojrzałem, lecz doły, drenujące śmiech. Ja wierzę w sny. A waćpan śni niekiedy, prezydencie? Doznaje aść przeczuć?

VALERIO Ma się rozumieć. Zawsze w przeddzień, nim pieczeń spali się w kominie, zdechnie pularda lub Jego Królewska Mość raczy cierpieć na niestrawność.

LEONCE A propos, czy aby waćpan czego nie zataił? Wyznaj aść wszystko.

PRZEWODNICZĄCY W pamiętnym dniu ślubu miłościwy monarcha zamierza złożyć najwyższe zlecenia w ręce Jego Wysokości.

LEONCE Powtórz aść miłościwemu monarsze, iż uczynię wszystko, wyjąwszy to, czego uczynić nie zamierzam. — Panowie wybaczą, że ich nie odprowadzę, właśnie ogarnęła mnie namięt-

ność siedzenia, lecz łaskawość moja jest tak wielka, iż zaledwo  
zdołam wymierzyć ją rozstawionemi nogami (*Rozstawia nogi*).  
Nie omieszkaj waść wymierzyć mojej łaskawości, aby czasem  
przypomnieć mi o niej. Valerio, odprowadź panów do drzwi.

VALERIO Co, mam podrwić? Czy przywiązać dzwonek do  
szyi pana prezydenta? Tak ich wyprowadzić, jakby pełzali na  
czworakach?

LEONCE Hultaju, jesteś kiepskim kalamburem. Ojca nie  
masz, ni matki, spłodziło cię pięć samogłosek, cudzołożąc.

VALERIO A książę jesteś księgą niezapisaną, pełną myślni-  
ków. Nie zwlekajcie dłużej, panowie.

*(Wychodzą przewodniczący wraz z Radą Stanu)*

LEONCE (*sam jeden*) Płaskie koncepty! Jak nikczemnie wy-  
strychnąłem na dudków tych biedaków! Cóż począć, istnieje roz-  
kosz, skryta w wulgarności. — Hm! Żeniaczka! To jakby wypić  
studnię bez dna. O, Shandy, stary Shandy, gdybyż kto podarował  
mi twój zegarek! — (*Wraca Valerio*) Ach, Valerio, czyś słyszał?

VALERIO No i cóż, zostaniesz waszmość królem. Niegorsza  
zabawa. Można dzień cały jeździć na spacer i zmuszać przechod-  
niów do licznych ukłonów: w ten sposób wzbogaca się fabrykan-  
tów kapeluszy; można z pocziwców urabiać rzetelnych żołnierzy,  
i wtedy wszystko jest w porządku; można z czarnych fraków  
i białych halsztuków wykroić radców stanu; a kiedy wreszcie się  
umiera, lśniące guziki mundurów powleka krepa, a sznury na  
wieżach kościelnych pękają od dzwonienia. Czyż to nie jest  
zajmujące?

LEONCE Valerio! Valerio! Musimy jąć się czego innego!  
Zgadnij!

VALERIO Ach, wiedza, niezgłębiona wiedza! Będziemy uczo-  
nymi! A priori czy też a posteriori?

LEONCE Jeśli a priori, to uczyć się trzeba u mego najjaśniej-  
szego ojca; a posteriori zaś rozpoczyna się wszystko, jak stara  
bajeczka: było kiedyś, w jakimś kraju!

VALERIO Tedy bądźmy bohaterami. (*Maszeruje tam i napowrót, imitując trębacza i dobosza*). Trom-trom-plere-plem!

LEONCE Ależ heroizm kopci obrzydliwie, śmierdzi lazaretem i obyć się nie może bez poruczników oraz rekrutów. Idź do diabła z tą zwietrzałą romantyką Aleksandra i Napoleona!

VALERIO Tedy zabawimy się w genjuszy.

LEONCE Słowik poezji cały dzień kląska nam nad głową, lecz to, co w niej subtelne, ginie, do czasu, gdy oskubiemy ją z piór i umaczamy je w farbie lub inkauście.

VALERIO Tedy bądźmy pożytecznymi obywatelami ludzkiej społeczności.

LEONCE Wolałbym raczej podać się do dymisji jako człowiek.

VALERIO Tedy idźmy do diabła.

LEONCE Ach, djabeł istnieje tylko dla kontrastu, abyśmy rychlej pojąć mogli, że coś tam dzieje się na niebie. (*Zrywając się*). Ach, Valerio, Valerio, nareszcie wpadłem na myśl! Czy nie czujesz powiewu z południa? Nie czujesz, jak pełga i pała ponad nami błękitny podmuch, jak błyska blask, odbity złościście od słonecznej gleby, od świętej toni słonych mórz, od kolumn i ciał marmurowych? Wielki Pan drzemie, a spizowe postaci śnią w cieniu ponad szumiącymi falami o starym czarowniku Wergiljuszu, o tarantelli i tamburynie, i o głębokich, obłądnych nocach, pełnych masek, pochodni i gitar. Lazzaronem być, o, Valerio, lazzaronem! Raz jeden w Italji!

## SCENA VI

### *Ogród.*

*Księżniczka Lena w stroju narzeczeńskim. Guwernantka.*

LENA Ach, teraz! Nadeszło! Nie myślałam przez cały czas. Przemijało i nagle nadszedł ten dzień. Wianek we włosach — i tyle dzwonów, tyle dzwonów! (*Pochyla się wstecz i przymyka oczy*). Wolałabym, moja miła, aby murawa rosła ponade mną

i pszczoły nad nią brzęczały; spójrz, oto mnie już przybrano i mam rozmaryn we włosach. Czyż niema takiej piosneczki:

Na smętarzu poleżę, poleżę,  
Zamkną furte, zatrzasną dźwierze...

GUWERNANTKA Biedactwo, jakie bledziutkie pod błyskającymi klejnotami!

LENA Mój Boże, umiałabym pokochać, umiałabym... Przecież każdy tak samotnie idzie swoją drogą i poomacku szuka ręki, która by go wsparła, póki grabarz nie rozplącze nam rąk i nie złoży na piersi. Lecz czemuż przebijają gwoździem dłonie, które się nie szukały? Cóż im zawiąła bezradna moja ręka? (*Zdejmuje pierścień z ręki*). Ten pierścień kąsa mnie, jak zmija.

GUWERNANTKA Mówią, że jest uwodzicielski, jak Don Carlos!

LENA I cóż, i cóż z tego — jest mężczyzną...

GUWERNANTKA A zatem?

LENA Którego się nie kocha. (*Powstaje*). O, tak, wstydzę się.— Jutro obedną mnie z wszystkiego. Czyżbym była biedną, bezradną strugą, która spokojnym dnem odbijać musi każdy obraz, jaki się nad nią pochyli? Kwiaty rozchylają i zamykają kielichy o brzasku i o zorzy wieczornej. Czyżby córka królewska mniej była, niżli kwiat?

GUWERNANTKA (*placze*). Jesteś, aniołku, jagnięciem ofiarnym.

LENA A kapłan wznosi nóż. — Mój Boże, mój Boże, czyli to prawda, że sami siebie odkupić musimy cierpieniem? Czy prawdą jest, iż świat cały jest ukrzyżowanym Zbawicielem, słońce koroną cierniową, a gwiazdy gwoździami i włócznią w stopach jego i nogach?

GUWERNANTKA Moje dziecko, moje najmilsze, uspokój się. — Tak dłużej być nie może, to cię zabije. — Kto wie, przyszła mi myśl... Chodź, chodź ze mną! (*Wyprowadza księżniczkę*).

## AKT II

*„O, jakim głosem w głębi mej zabrzmiało,  
Gdzie mroczne cienie,  
I nagłą nutą, jak dech, się rozwiało  
Wszelkie wspomnienie?“*

*(Adalbert v. Chamisso)*

### SCENA I

*Pole. W głębi oierz.*

*Leonce i Valerio, który dźwiga tłumok, wchodzą.*

VALERIO (*dysząc*) Na honor, mój książę, świat ten jest be-  
miernie przestronną budowlą.

LEONCE Cóż znowu! Cóż znowu! Ledwo ośmielam się wycią-  
gnąć ręce, jak w zwierciadlanej sali, w obawie, by nie natknąć  
się na ściany: śliczne postaci prysną, a ja stanąłbym przed nagim  
murem.

VALERIO Jestem zgubiony.

LEONCE Ten tylko poniesie stratę, kto cię odnajdzie.

VALERIO Chyba że odsapnę w cieniu własnego cienia.

LEONCE Zanikniesz niezadługo w oparach słońca. Czyż wi-  
dzisz tę piękną chmurkę nad głową? To conajmniej ćwierć twojej  
istoty. Z niezachwianym spokojem spogląda na bardziej mater-  
jalne substancje twojej osoby.

VALERIO Chmura ta zdałaby się głowie waszmości, gdyby  
tak zechciała opaść kropla po kropli. — Też mi pomysł! Przebie-  
gliśmy z tuzin księstw, z pół tuzina wielkich księstw i kilka kró-  
lestw, a wszystko to w gwałtownym pośpiechu w ciągu pół dnia —  
i czemu to? Bo chciano go zrobić królem i zaślubić mu urocą  
księżniczkę! Jakto, waszmość znosi to położenie? Nie pojmuję  
rezygnacji waćpana! Nie rozumiem, że nie zażył aś arszeniku,  
nie stanął na szczycie wieży kościelnej i nie strzelił sobie w łeb —  
dla wszelkiej pewności.

LEONCE Ależ, Valerio, pomyśl o ideałach! Noszę w sobie ideał kobiety i nie spocznę, póki go nie odnajdę. Jest przedziwnie piękna i bezmiernie bezduszna. Wspaniałe przeciwieństwo: niebiańsko głupkowate oczy, bosko naiwne usta, idjotyczny grecki profil, duchowa nicość w przeduchowionem ciele.

VALERIO Do stu diabłów! Znów jesteśmy na granicy. To kraj jak cebula: same łupiny, lub pudełka szczelnie dopasowane: w największym są same pudełka, a w najmniejszym niema nic. (*Rzuca tłumok o ziemię*). Czy ten tłumok ma mnie wiecznie tłoczyć, jak głaz mogiłę? Posłuchaj, książę, zwolna stanę się filozofem: to obraz ludzkiego istnienia. Tłumok ten włokę poranionemi stopami przez skwar i mróz, wieczorem bowiem pragnę przywdziać czystą koszulę, a kiedy wreszcie nadejdzie zmierzch, czoło moje zryte jest zmarszczkami, policzki zapadłe, oczy zesnute mrokiem, i tyle tylko starczy mi czasu, by przywdziać koszulę śmiertelną. Czyż nie postąpiłbym roztropniej, gdybym te moje szmaty zdjął z kołka, sprzedał je w pierwszej lepszej gospodzie i upił się i przespał w cieniu, póki nie zapadłby wieczór, zamiast mozolić się do siódmego potu? A teraz, mój książę, posłuchaj praktycznego wykładu i zastosowania: z wygórowanego poczucia wstydu wartooby nadto przybrać również wewnątrz ludzkie i od wewnątrz wdziać spodnie oraz surdut. (*Obaj zmiierzają ku oberży*). Och, najmiłszy mój tobołku, jakaż woń smakowita, cóż za opary wina i zapaszek pieczeni! Och, niezrównane porteczki, jakże ślicznie wrastacie w ziemię i zielenicie się i kwitnicie, a długie, ciężkie grona zwisają mi do ust — i moszcz burzy się słodko pod tłocznią. (*Wychodzą*).

(*Wchodzą księżniczka Lena i guwernantka*).

GUWERNANTKA To najwidoczniej zaczarowany dzień, słońce nie zachodzi, nieskończenie dawno rozpoczęliśmy naszą ucieczkę.

LENA Ależ nie, moja droga, zaledwo przywiędły kwiaty, które zerwałam, żegnając się z ogrodem.

GUWERNANTKA: I gdzież mamy spocząć? Na nic nie natrafiliśmy jeszcze. Klasztoru nie widzę, pustelnika, ani pasterza.

LENA Inaczej widocznie wymarzyliśmy wszystko, pochylone nad książkami, za murami naszego wirydarza, między oleandrem a mirtem.

GUWERNANTKA Panie Jezu, co też powiedzą o tem? A przecie tak delikatne jest to i kobiece. Jest to jakoby wyrzeczenie. Jakgdyby ucieczka świętej Otylji. Ale musimy poszukać noclegu, zapada zmierzch.

LENA: O, tak, rośliny składają płatki do snu, a promienie słoneczne wążą się na źdźbłach trawy, jak znużone libelle.

GUWERNANTKA Och, wstrętny jest świat. Ani zamarzyć o błędzącym królewiczu.

LENA O, piękny jest i przestronny i tak bezmiernie daleki! Pragnęłabym iść tak zawsze przed siebie, nocą i dniem. Nie drgnie nic. Rumiany pył stoi nad łąkami, a dalekie góry przyłgnęły do ziemi, jak odpoczywające obłoki.

## SCENA II

*Oberża na wzgórzu, ponad rzeką, daleki widok. Z przodu ogród.*

*Valerio. Leonce.*

VALERIO Czyliż portki waćpana, mój książę, nie dostarczyły wybornego trunku? A trzewiki nie spływają po krtani, jak miód?

LEONCE Popatrz, te stare drzewa, żywopłoty, kwiaty, wszystko to ma swoje dzieje, swoje urocze, utajone dzieje. Czy widzisz te olbrzymie, przyjazne oblicza, na przyzbie, pod kiśćmi wina? Jak też zasiedli, trzymając się za ręce, i trwożą się, że tak są zgrzybiali, a świat tak młody. O, Valerio, i jam tak młody, a tak stary świat. Czasem przeszywa mnie lęk o mnie samego, mógłbym zaszyć się w kącie, litując się nad sobą, płakać rzewnymi łzami.

Valerio (*podając mu szklanę*) Ujmij ten dzwon, szklany dzwon, i zanurz się w morzu wina, niechaj szumiąc zamknie się nad gło-

wą. Spójrz, jak elfy złotymi stopkami igrają nad winogradem, uderzając w cymbałki.

LEONCE (*zrywając się*) Valerio, chodź, musimy czemś się zająć, koniecznie się zająć! Zapuśćmy się w głębokie dociekania; badać będziemy, czemu ten zydel stoi na trzech nogach, a nie na dwóch. Chodź, będziemy badać anatomję mrówek i liczyć słupki kwiatów. Mimo wszystko zdobędę się jeszcze na pasję kolekcjonera. Mimo wszystko odnajdę dla dystrakcji grzechotkę, która wtedy wypadnie mi dopiero z rąk, kiedy pochylę się, by zbierać płatki śniegu. Tkwi we mnie jeszcze pewna doza entuzjazmu; ale kiedy wszystko przyrządę i misa paruje, upływa nieskończenie wiele czasu, nim znajdę łyżkę, którą mógłbym czerpać, i tak kończy się wszystko na niczem.

VALERIO Ergo bibamus! Ta butla nie jest bogdanką ani ideą, nie przyprawia o bóle porodowe, nie zanudza, ani nie zdradza, pozostaje jednaka od pierwszej do ostatniej kropli. Wystarczy złamać pieczęć, a wszystkie drzemiące w niej sny wypryskują ku tobie, skrząc się.

LEONCE O, Boże! Pół życia mojego będzie dziękczynną modlitwą, jeśli wolno mi podjąć z ziemi źdźbło słomy, które dosięgnę jak rumaka, a on mnie poniesie, póki znów nie zwałę się na słomę. Jakież wieczór niesamowity! Tam w dole wszystko w ciszy, a tu w górze zmieniają się i płyną chmury, a blask słoneczny błyska, to gaśnie. Spójrz, jakie dziwne gonią się postaci! Spójrz na długie, białawe cienie, ich nogi okropnie chude i skrzydła nietoperze, o, wszystko tak zwinne, tak splątane. a tam w dole nie drgnie liść, ni trawa. Ziemia skuliła się trwożnie, jak dziecko. a ponad kołyską jej stąpają widma.

VALERIO Nie wiem, czem waść się niepokoi, wybornie się mięwam. Słońce wygląda jak godło oberży, a chmury ogniste ponad niem, jak napis „Zajazd pod złotem słońcem“ Ziemia i woda tam w dole są jak gładki stół, na który rozlano wino, a my leżymy na obrusie, jak karty do gry, któremi z nudów zabawiają się Pan Bóg i Djabeł, waszmość jest tuzowym królem, a ja waletem, je-



szcze brak tylko damy; pięknej damy z wielkiem sercem z pier-  
nika na piersi i potężnym tulipanem, w który sentymentalnie zata-  
pia się długi nos (*wchodzą guwernantka i księżniczka*), a oto —  
jak mi Bóg miły — ona! Ale nie jest to w istocie tulipan, jeno  
niuch tabaki, i w gruncie rzeczy nie nos to, lecz trąba! (*Do gu-  
wernantki*). Czemu to asińdzka kroczy tak pośpiesznie, że wzrok  
zdumiony ogląda ś. p. łydkę panine aż po same, za przeprosze-  
niem, podwiązki?

GUWERNANTKA (*przystaje, mocno zagniewana*) A czemu  
waść tak szeroko rozdziawia gębę, że w tym pięknym widoku na-  
trafia się na dziurę?

VALERIO Aby dobrodzika nie pokrwaiała sobie nosa, uderzy-  
wszy o widnokrag. Taki nochal jest jak wieżyca na Libanie, wy-  
glądająca ku Damazkowi.

LENA (*do guwernantki*) Powiedz, czy daleka jest droga?

LEONCE (*rozmurzony, mimowiednie*) O, wszelka droga jest  
daleka. Tykanie zegara w naszej piersi jest powolne, i każda  
kropla krwi wymierza swój czas, i życie nasze jest jak długi dy-  
got gorączki. Dla stóp znużonych każda droga jest zbyt daleka...

LENA (*która nasłuchuje w trwoźnem zadumaniu*) I dla oczu  
znużonych wszelki blask zbyt kłujący, i dla warg znużonych  
wszelkie słowo próżne. (*Wchodzi wraz z guwernantką do domu*).

LEONCE O, miły mój Valerio! Czyż i ja nie mógłbym powie-  
dzieć: „A jeśli jest to gaj pióropuszków i te kilka trefionych róż —  
wyborną sprzączką dla trzewików?“ To rzekłem, zda się, całkiem  
melancholijnie. Dzięki Bogu, że zaczynam produkować melan-  
cholję. Powietrze nie jest już tak jasne i zimne, niebo ogarnia  
mnie żarem, i opadają ciężkie krople. — O, głos ten: czy da-  
leka jest droga? Wiele głosów gada ponad ziemią i mniema się,  
iż mówią o czem innem, ale głos ten pojąłem. Spoczywa na mnie,  
jak dech, który ongi unosił się nad wodami — nim stało się świa-  
tło. Jakież wrzenie w czeluści, jakież ferment narodzin we mnie,  
jakże głos ten przelewa się przestworem! Czyli tak daleką jest  
droga? (*Wychodzi*).

VALERIO Nie, droga do domu obłąkanych niedaleka, łatwo na nią trafić, znam wszelkie ścieżki ku niej, zawile miedze i gościńce. Już go oglądam, jak stąpa przed siebie szeroką aleją, w zimowy wieczór, siny od mrozu, z kapeluszem pod pachą, jak przystaje pod długimi cieniami ogołoconych drzew i wachluje się chusteczką. — Błazen! Obłąkany! (*Idzie za nim*).

### SCENA III

*Pokój.*

*Lena. Guwernantka.*

GUWERNANTKA Nie myśl waćpanna o tym człowieku.

LENA Oblicze starca nad jasnemi lokami! Wiosna na policzkach, a zima w sercu. To smutne. Zmęczone ciało wszędzie przylegnie, by spocząć, ale gdy znużony jest duch, gdzież odpocznie? Nachodzi mnie straszna myśl: przypuszczam, iż spotyka się ludzi, którzy są nieszczęśliwi, nieuleczalnie nieszczęśliwi, tylko dlatego, że istnieją. (*Powstaje*).

GUWERNANTKA Dokąd, moje dziecko?

LENA Zejdę do ogrodu.

GUWERNANTKA Ale...

LENA Ale co, moja miła? Wiesz przecie, właściwie powinni mnie byli umieścić w donicy. Trzeba mi rosy i podmuchu nocy, jak kwiatom. — Czy słyszysz harmonję wieczoru? Jak cykady do snu kołyszą dzień i wtórują im fiołki senną wonią! Nie mogę zostać w pokoju. Ściany walą się na mnie!

### SCENA IV

*Ogród. Noc, blask księżycy.*

*Lena siedzi na murawie.*

VALERIO (*oddalony nieco*) Urocza to rzecz przyroda, ale bardziej byłaby urocza, gdyby nie istniały komary, łóżka w zajaz-

dach natomiast były nieco schludniejsze, a świerszcze w ścianach cykały trochę ciszej. Tam, pod dachem, chrapią ludzie, a tutaj wrzeszczą żaby, tam szeleszczą chrząszcze domowe, a tutaj polne. Miła murawo, miej mnie w swej opiece!

*Wchodzi Leonce, spostrzega księżniczkę i zbliża się do niej cichutko.*

LENA (*zadumana*) We śnie ozwał się ptak. — Noc głębiej usypia, oblicze jej bledsze, spokojniejszy dech. Miesiąc jest jak dziecko uśpione, złote kędziory we śnie opadły mu na oczy. — O, jego sen jest śmiercią. Spoczywa anioł umarły na miękkich, mrocznych obłokach, a gwiazdy wokół niego goreją jak gromnice! Biedne dziecko! Smutne, umarłe i zupełnie samotne!

LEONCE Powstań w twojej szacie białej i stąpaj poprzez noc za umarłym i śpiewaj mu piosnkę pożegnania!

LENA Kto? kto mówi?

LEONCE To sen.

LENA Błogie są sny.

LEONCE Tedy śnij błogo i pozwól, abym był twoim snem.

LENA Z wszystkich snów najbardziej błogi jest zgon.

LEONCE Tedy pozwól, abym był aniołem zgonu. Niechaj wargi moje musną oczy twoje, podobne jego skrzydłom. (*Całuje ją*). Śliczna umarła, tak cudnie spoczywasz na całunie nocy, iż natura nienawidzieć poczyna życie i miłuje śmierć.

LENA Nie, zostaw mnie! (*zrywa się i szybko oddala*).

LEONCE Zbyt wiele! Zbyt wiele! Całe istnienie moje zawarte w tej jednej chwili. Umrzyj teraz! Więcej niepodobna. Dysząc świeżością, lśniąc urodą, ku mnie z powijaków chaosu wyłania się świat! Ziemia jest czarą z ciemnego złota: jakże szumi w niej blask i przelewa się poza brzegi i w górę świetliście wypryskują gwiazdy! Ta kropla szczęścia upaja mnie, jestem jak przedmiot doskonały! O, puharze, pełen świętości, rzucę cię w otchłań. (*Chce rzucić się w rzekę*).

VALERIO (*porywa się i wstrzymuje go przemocą*) Ani kroku, serenissime!

LEONCE Puść mnie!

VALERIO Puszczę waćpana, kiedy wywietrzeje mu ta pustota i opuści chęć skakania do wody.

LEONCE Głupcze!

VALERIO Czyż Jego Wysokość nie wzniosła się jeszcze ponad romantyzm pijanego oficerka: wyrzucać za okno kieliszek, którym spełniło się zdrowie kochanki?

LEONCE Bóg z tobą, chyba masz słuszość.

VALERIO Pociesz się waćpan. Jeśli nocy tej nie uśnie waść pod murawą, to w każdym razie na niej samej. Równie samobójcza byłaby próba przespania się w którymś z łózek. Leży się na sienniku jak nieboszczyk, a pchły kąsają, jakby tryskało się zdrowiem.

LEONCE Niech i tak będzie. (*Kładzie się na trawie*). Hultaju, sfuszerowałaś mi najświetniej zainscenizowane samobójstwo. Nie znajdę w życiu równie wybornej okazji, a i pogoda jest nienaganna. Teraz nie jestem już w nastroju. Ten gamoń zepsuł mi wszystko swą żółtą kamizelką i błękitnymi portkami. — Niechaj niebiosy użyczą mi pokrzepiającego snu — tylko bez snów, bez snów!

VALERIO Amen — a ja ocaliłem od zguby istnienie ludzkie i spokojne moje sumienie posłuży mi za wygodną poduszkę. Na zdrowie, mój Valerio!

### AKT III

#### SCENA I

*Leonce. Valerio.*

VALERIO Żenić się? Od kiedy to Jego Wysokość decyduje się na sprawy nieodwołalne?

LEONCE Czy wiesz ty, Valerio, że nawet najlichszy z ludzi tak jest wielki, iż o wiele za krótkie bywa życie, aby móc go naprawdę pokochać? A pozatem mogę chyba sprawić satysfakcję pewnemu gatunkowi osób, które imaginują sobie, iż nic nie jest dosta-

tecznie piękne i święte — póki nie otrzyma sankcji. Jest pewien powab w tej ujmującej arogancji. Czemuż nie miałbym im użyć tej przyjemności?

VALERIO Bardzo humanitarne, by nie rzec filisterskie! Ale czy też ona domyśla się, kim waść jesteś?

LEONCE Wie jedno tylko, że mnie kocha.

VALERIO A czy aby Jego Wysokość wie, kim ona jest?

LEONCE Głupcze! Spytaj róży i kropli rosy o ich imiona.

VALERIO Znaczy to, że jest wogóle kimś, jeśli to nie brzmi nadto niedelikatnie i nie zatraća definicją pedanta. — Ale do czego ma to doprowadzić? — Hm, książę, czy będę ministrem, jeśli waszmość dzisiaj jeszcze poślubi w obliczu ojca i z jego najmiłościwszem błogosławieństwem tę niewymowną i bezimienną? Słowo książęce?

LEONCE Moje słowo!

VALERIO Nieborak Valerio ściele się do stóp Jego Ekscelencji Ministrowi Stanu Valerio de Valeriental. — „Czego chce ten huncwot? Nie znam go. Precz, hultaju!” (*Wybiega; za nim wychodzi Leonce*).

## SCENA II

*Plac przed pałacem króla Piotra.*

*Wójt. Bakałarz. Chłopi przystrojeni odświętnie, trzymający gałęzie jedliny.*

WÓJT Kochany bakałarzu, jakże zachowują się pańscy ludzie?

BAKAŁARZ Tak świetnie trzymają się na nogach, że od dłuższego już czasu zmuszeni są wzajem się podtrzymywać. Wlewają w siebie sporo spirytusu, co ich podtrzymuje na duchu. Nie peszyć się, moi kochani! Wyciągajcie przed siebie gałęzie, aby pomyślano, że jesteście knieją, a nosy wasze wyglądającymi spośród zieleni poziomkami, a trójgraniaste wasze kapelusze rogami dziczyzny, a wasze łosiowe portki blaskiem księżyca. I zapamiętajcie sobie: ten, kto sterczy w tyle, wybiega razporaz do przed-

iego szeregu, aby się wydawało, że podniesieni jesteście do kwadratu.

WÓJT I, bakałarzu, odpowiada waść za stan trzeźwości.

BAKAŁARZ Rozumie się, ledwo utrzymać się mogę na nogach z trzeźwości.

WÓJT Uważajcie, moi drodzy, program przewiduje: wszyscy poddani, z dobrej i nieprzymuszonej woli, schludnie przybrani, należycie odżywieni i z minami ochoczemi ustawiają się w szereg wzdłuż gościńca. Niechaj mi ikt nie ośmieli się pisnąć!

BAKAŁARZ Bądźcie cierpliwi i stateczni! Nie drapcie się za uchem i nie smarkajcie się, dopóki nie raczą przejechać w karocy Ich Wysokości, a także rozczulajcie się jak należy, bo w przeciwnym razie ja was tak potrafię rozczulić, że popamiętacie. Pomnijcie, co się dla was czyni! Tak was akurat ustawiono, że z kuchni dolatuje smakowity zapach i pierwszy raz w życiu możecie delectować się wonią pieczenia. Czyście zapamiętali lekcję? Jazda! Vi!

CHŁOPI Vi!

BAKAŁARZ Vat!

CHŁOPI Vat!

BAKAŁARZ Vivat!

CHŁOPI Vivat!

BAKAŁARZ Oto, panie wójcie, może się aść przekonać, jak w ludzkie wzrasta inteligencja. Niech waszmość zważy, że to łacina. Ale też dzisiejszego wieczoru świecić będziemy na balu dziurami w naszych surdutach i portkach, a kułakami wybijemy sobie na czołach niezatarte kokardy.

### SCENA III

*Obszerna sala. Wystrojone panie i panowie, ceremonjalnie ustawieni. Mistrz ceremonji wraz z kilkoma lokajami na pierwszym planie.*

MISTRZ CEREMONJI Desperacja! Zupełna desperacja! Wszystko przepadło. Pieczyście się przypaliło. Nikt nie gratuluje.

Wszystkie halsztuki owisły, jak melancholijne uszy prosięce. Chłopom odnowa rosna brody i pazury. Żołnierzom rozkręciły się harcapy. Pośród dwunastu niewinnych dziewczic niema jednej, która nie wolałaby leżeć zamiast stać. W bieluchnych sukienkach wyglądają jak omdlewające lilje, a poeta dworski skacze wokół nich, chrząkając, jak strapiona świnka morska. Panowie oficerowie utracili wszelki fason, a damy dworu sterczą, jak wieszaki. Naszyjniki ich płaczą potem.

I LOKAJ Damulki przynajmniej się nie krępują; niepodobna stwierdzić, aby ukrywały wdzięki. Można je podziwiać do pępka.

MISTRZ CEREMONJI Najmilsze dzierlatki. — Precz, hultaje! Do okien! Jego Królewska Mość raczy się zbliżyć!

*Wchodzi król Piotr wraz z Radą Stanu*

PIOTR Księżniczka także gdzieś się zapodziała. Czy ciągle jeszcze nie natrafiono na ślad naszego umiłowanego następcy tronu? Rozkazy moje wykonano? Nie spuszcza się oka z granic?

MISTRZ CEREMONJI Tak jest, Wasza Królewska Mość. Widok z tych okien pozwala nam na pilną kontrolę. *(Do I lokaja)* Widziałeś co?

I LOKAJ Piesek, szukający właściciela, przemknął przez państwo.

MISTRZ CEREMONJI *(do innego lokaja)* A ty?

II LOKAJ Ktoś przechadza się na północnej granicy; ale to nie książę, byłbym go poznał.

MISTRZ CEREMONJI A ty?

III LOKAJ Proszę wybaczyć — nie widzę nic.

MISTRZ CEREMONJI To bardzo mało. A ty?

IV LOKAJ Także nic.

MISTRZ CEREMONJI Niewiele więcej.

PIOTR Ależ, moi radcowie, czyż nie powziąłem postanowienia, iż dzisiaj nasz królewski majestat nie będzie się posiadał z radości i że dzisiaj wyprawimy huczne wesele? Czyż nie taka była nasza niecofniona wola?

PRZEWODNICZĄCY Tak jest, Najjaśniejszy Panie. Zaprotokulowano i opatrzone pieczęcią.

PIOTR A czyż nie uchybiłbym sobie, gdybym nie wykonał postanowienia?

PRZEWODNICZĄCY Gdyby wogóle można było pomyśleć o kompromitacji monarchy, to byłby wypadek, w którym Najjaśniejszy Pan niezawodnieby się skompromitował.

PIOTR Czyż nie daliśmy naszego królewskiego słowa? — Tak jest, niezwłocznie przystąpię do wykonania mojej decyzji, i będę się cieszył. (*Zaciera ręce*). Cieszę się, niezmiernie się cieszę!

PRZEWODNICZĄCY Podzielamy wszyscy uczucia Najjaśniejszego Pana, na ile to jest stosowne i właściwe dla posłusznych Jego poddanych.

PIOTR Och, poprostu nie posiadam się z radości! Moim radcom stanu sprawię czerwone fraki, kilku kadetów zrobię podporucznikami, poddanym moim pozwolę — ale, ale — gdzież wesele? Czyż druga część postanowienia nie głosi aby, że dzisiaj wyprawi się wesele?

PRZEWODNICZĄCY Niewątpliwie, Najjaśniejszy Panie.

PIOTR No tak, ale jeśli nie zjawi się książę nie odnajdzie księżniczka?

PRZEWODNICZĄCY Tak, jeśli nie zjawi się książę i nie odnajdzie się księżniczka — wtedy — wtedy —

PIOTR Wtedy co?

PRZEWODNICZĄCY Wtedy oboje nie mogą się poślubić.

PIOTR Zaraz, czy aby wniosek jest logiczny? Jeśli — wtedy — Tak jest! Lecz nasze słowo, królewskie słowo?

PRZEWODNICZĄCY Niech Najjaśniejszy Pan pocieszy się przykładem innych monarchów. Słowo królewskie jest czymś — jest czymś takim — jest niczem.

PIOTR (*do lokajów*) Nic jeszcze nie widać?

LOKAJE Najjaśniejszy Panie, nic, zupełnie nic.

PIOTR A ja postanowiłem, że będę się radował! Punktualnie



z uderzeniem zegara miałem rozpocząć i cieszyć się pełne dwanaście godzin — ogarnia mnie czarna melancholja.

PRZEWODNICZĄCY Wzywa się wszystkich poddanych, aby dzielali uczucia Najjaśniejszego Pana.

MISTRZ CEREMONJI Tym wszelako, którzy nie mają przy sobie chustek do nosa, ze względów moralności publicznej wzbrowniono płaczu.

I LOKAJ Tam! Popatrzcie! Widzę coś! Coś się rusza! Coś kogoś wyprzedza! Jest to jakby nos, reszta nie przekroczyła jeszcze granicy; ponadto widzę mężczyznę i dwie osoby płci przeciwnej.

MISTRZ CEREMONJI W jakim kierunku?

I LOKAJ Zbliżają się. Idą ku pałacowi. Oto oni.

*(Valerio, Leonce, guwernantka i księżniczka wchodzą, zamaskowani)*

PIOTR Kimże jesteście?

VALERIO Czyliż wiem? *(Zwolna i kolejno zdejmując jedną maskę po drugiej)* Czy tem? albo tem? albo tamtem? Zaiste, boję się, że mógłbym tak obłuskiwać się do samego końca, liść po liściu.

PIOTR *(zakłopotany)* Ależ — czemś wreszcie musisz acan być.

VALERIO Jeśli rozkażesz, Najjaśniejszy Panie. Wobec tego, moi panowie, odwróćcie zwierciadła do ściany i przesłońcie lśniące wasze guziki i nie wpatrujcie się tak we mnie, bym w oczach waszych nie musiał się bezustannie odbijać, gdyż w przeciwnym razie nigdy siebie nie odnajdę.

PIOTR Jestem zupełnie skonfundowany. Ten człowiek doprowadza mnie do desperacji.

VALERIO Właściwie pragnąłem powiadomić wielce szanowną publiczność, że nadeszły oto dwa, głośnie na świat cały, automaty, i że ja sam jestem, być może, trzecim z nich i najosobliwszym, to znaczy, jeśli wogóle wiem, kim jestem, co skądinąd nie powinno budzić zdziwienia, gdyż sam nie wiem, o czym gadam, a nawet nie wiem co więcej, że tego nie wiem, tak, iż w gruncie rzeczy wielce jest prawdopodobne, że pozwalają mi tylko tak ga-

dać wkółko, a właściwie gadają przeze mnie jeno walce i wydęte miechy, które wszystko to prawią. (*Tonem szeleszczącej maszynynerji*). Popatrzcie, moi panowie i panie, dwie osoby dwojakię płci, samiec i samiczka, jegomość i jejmość. Kunszt tylko i mechanizm, tektura i sprężyny! Każde z nich posiada misterną, najmisterniejszą śrubkę z rubinu pod paznokciem małego paluszka prawej stopy, wystarczy pocisnąć nieco i mechanizm rusza się pełne pięćdziesiąt lat. Osoby te tak wybornie są zestawione, że niepodobnaby ich rozróżnić od innych ludzi, gdyby się nie wiedziało, że urobione są z tektury; właściwie możnaby je uczynić członkami ludzkiej społeczności. Są wielce szlachetni, gdyż mówią nienagannie. Są bardzo moralni, gdyż wstają z łóżka z uderzeniem zegara, zasiadają do stołu z uderzeniem zegara i kładą się spać z uderzeniem zegara; trawią doskonale, co świadczy o niezakłóconem sumieniu. Są bardzo wstydlivi, gdyż dama nie zna terminu dla określenia pojęcia spodni, a kawaler nie potrafi skradać się schodami za jakąkolwiek niewiastą. Są bardzo wykształceni, gdyż dama śpiewa arje z wszystkich nowych oper, a kawaler często zmienia mankiety. Uważajcie pilnie, moi panowie i panie, oto są teraz w stadjum niezmiernie zajmującym: zaczyna ujawniać się mechanizm miłości, kawaler kilkakrotnie już nosił szal za damą, a dama kilka razy wywróciła oczy i spojrzała ku niebiosom. Oboje zdaje się nic nie dzielić i brak tylko małego słówka: amen.

PIOTR (*przystawiwszy palec do nosa*) In effigie, in effigie? (*Do przewodniczącego*) Powiedz waszmość, jeśli wiesz się kogo in effigie, czy nie jest to równie dobre, jakgdyby powiesiło się go w rzeczywistości?

PRZEWODNICZĄCY Wybaczy Najjaśniejszy Pan, jest to znacznie lepsze jeszcze, gdyż delikwent nie ucierpi, a przecie go powieszają.

PIOTR Oto pomysł. Wyprawimy wesele in effigie! (*Wskazuje na Lenę i Leonce'a*). To księżniczka, a to jest książę. — Wykonam moje postanowienie, niech się dzieje co chce, będę się cie-

szył. — Niechaj uderzą we wszystkie dzwony, przygotujcie wasze gratulacje, zwawo, dworski kapelanie!

*(Dworski kapelan występuje, chrząka, kilka razy spogląda w niebo)*

VALERIO Jazda! Przestań się krzywić, jakbyś opił się octem! Do roboty!

KAPELAN DWORSKI *(bardzo zmieszany)* Kiedy my — albo — czy też —

VALERIO Zatem i tedy —

KAPELAN Albowiem —

VALERIO Działo się to przed stworzeniem świata —

KAPELAN Atoli —

VALERIO Pan Bóg nudził się setnie —

PIOTR Byle krótko, mój drogi.

KAPELAN *(opanowując się)* Jeśli Jego Wysokość, książę Leonce, i Jej Wysokość, księżniczka Lena raczą wyrazić zgodę oddzielnie i jeśli Ich Wysokości raczą wyrazić zgodę obopólnie, niechaj wyrzekną głośno i wyraźnie: tak.

LENA i LEONCE Tak!

KAPELAN Tedy ja mówię amen.

VALERIO Świetnie się spisałeś, krótko i węzłowato; zatem mamy przed sobą świeżo utworzoną parę ludzi, a wszystkie zwierzęta w raju gromadzą się wokół nich.

*(Leonce zdejmuje maskę)*

WSZYSCY Książę!

PIOTR Książę! Mój syn! Oszukano mnie, jestem zgubiony! *(Idzie gwałtownie ku księżniczce)* Kim jest ta osóbka? Każę wszystko unieważnić!

GUWERNANTKA *(zdejmuje maskę księżniczce, triumfująco)* Księżniczka!

LEONCE Lena?

LENA Leonce?

LEONCE Ach, miła Leno, myślę, że była to ucieczka do raju.

LENA Oszukano mnie.

LEONCE Oszukano mnie.

LENA O, jakież traf!

LEONCE O, przeznaczenie!

VALERIO Śmiech mnie porywa, śmiech mnie porywa. Ich Wysokości trafem przypadły sobie do serca. Teraz nie wolno się sprzeniewierzyć, teraz nie wolno, moje dziatki. Ależ wystrychnąłem was na dudków!

GUWERNANTKA Że też moim starym oczom dane było to oglądać! Błądzący królewicz! Teraz mogę umrzeć w spokoju.

PIOTR Dzieci moje, jestem wzruszony, wielce jestem wzruszony, jestem roztkliwiony. Cieszę się bardzo, jestem najszczęśliwszy z ludzi! Wszelako, synu mój, uroczyście składam władzę w twoje ręce i nareszcie zacznę myśleć w całkowitym spokoju. Synu mój, zostawisz mi tych mędrców (*wskazując na Radę Stanu*), aby wspierali mnie w moich dociekaniach. Chodźcie, moi panowie, chodźmy rozmyślać. (*Oddala się wraz z Radą Stanu*). Tamten hultaj tak mnie skonfundował, że muszę powoli zebrać myśli.

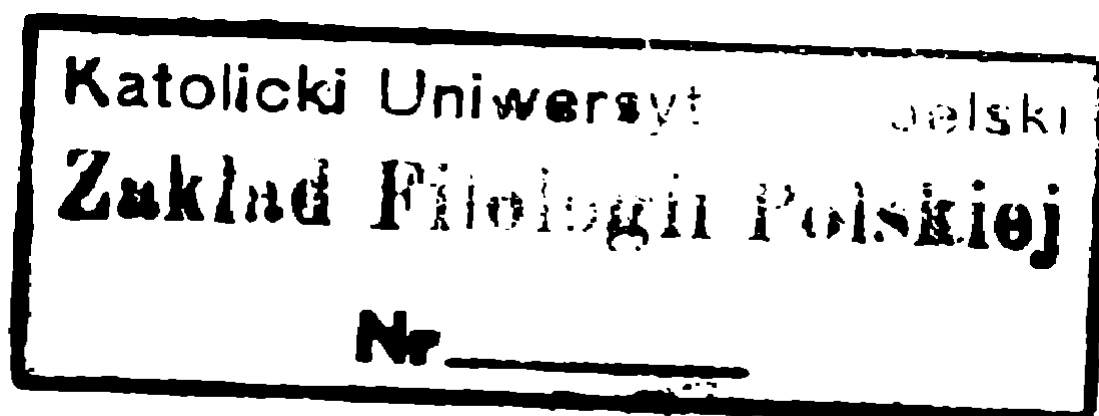
LEONCE (*do obecnych*) Moi panowie! Małżonka moja i ja sam niezmiernie żałujemy, że tak długo was dzisiaj trudziliśmy. Pozycja wasza tak jest żałosna, że ani chwili dłużej nie chcemy wystawiać jej na próbę. Udajcie się teraz do domu, lecz nie zapomnijcie przemówień waszych, kazań ni wierszy, jutro bowiem z niezmaconym spokojem żarcik ten powtórzemy odnowa. Żegnajcie!

(*Wszyscy oddalają się z wyjątkiem Leonce'a, Leny, Valeria i guwernantki*)

LEONCE Miła Leno, czy widzisz, jak pełne mamy kieszenie, pełne kukiełek i zabawek? Co z nimi poczniemy? Czy przyprawimy im wąsy i przypaszemy szabelki? Lub przywdziejemy im może fraki i każemy uprawiać politykę i dyplomację drobnoustrojów, a sami obok zasiądziemy z mikroskopem? Albo pragniesz może katarynki, wokół której skaczą białe myszy, uprawiając igraszki estetyczne? Czy może wybudujemy teatr? (*Lena przytu-*

*la się doń i zaprzecza ruchem głowy).* Ależ ja wiem, czego ty pragniesz, polecimy rozbić wszystkie zegary, zakażemy wszelkich kalendarzy i liczyć będziemy godziny i miesiące wedle kwitnienia kwiatów i dojrzewania owoców. Poczem krąik nasz każemy ob-stawić zwierciadłami, aby nie było zimy, jeno wieczne lato wśród krzewów pomarańczowych i wawrzynów.

VALERIO A ja będę ministrem stanu, i wydam dekret, że kto zapracuje sobie ręce, tego weźmie się pod kuratelę; kto spowodu przepracowania zapadnie na zdrowiu, ukarany będzie więzie-niem; każdy, kto się przechwala że chleb spożywa w pocie czoła, obwołany będzie za warjata i niebezpiecznego szkodnika społeczeństwa; poczem wyciągniemy się w cieniu i prosić będziemy Boga o makaron, o melony i figi, o krtanie muzykalne, ciała kla-syczne i o nadchodzącą religję.





## NOTY BIBLIOGRAFICZNE

**ARMIN VON ACHIM** (1781 — 1831), ur. w Berlinie, studjuje w Gettyndze, żeni się z Bettiną Brentano (siostrą Clemensa), głośną z czasem wielbicielką Goethego i pisarką. Czas dzieli między pobyt w Berlinie a wsią dziedziczną w Marchji brandenburskiej. Debjtuje zbiorem pieśni ludowych („Wanderhorn“), zestawionym wraz z Clemensem Brentano; zbiór ten wywarł wpływ ożywczy na romantyczną poezję niemiecką i szerokiej doznał popularyzacji. Jest autorem wierszy, prób dramatycznych, licznych opowiadań i opowieści; z prozaicznych pozycji najcelniejsze: „Gräfin Dolores“ (1810), „Isabella von Ägypten“ (1812), niedokończona powieść „Kronenwächter“ (1817).

Długie dziesiątki lat zapoznany, halucynacyjny ten romantyk po wojnie przeżywa renesans. Zwłaszcza nadrealiści francuscy widzą w tym wizjonerze zadziwiającego prekursora, obdarzonego piętnem genialności.

**CLEMENS BRENTANO** (1778 — 1842), ur. w Frankfurcie, rodzina matki wywodzi się z kręgu, bliskiego Goethemu. Przyjaciół Görresa i Achima, wiecie życie niespokojne, miotany żądzą wiedzy, wybujałymi prądami uczuciowymi, skłonnością do mistycznych doznań i dociekań. Od roku 1818 lata całe spędza u łoża stygmatyczki, Anny Katarzyny Emmerick, i spisuje jej widzenia. Jest konwertytą na katolicyzm.

Autor pierwszej „rozwichrzonej“ powieści romantycznej („Godwi“), nowel, z których kilka pozyskało mu rozgłos, fantastycznych dramatów, cyklów lirycznych. Talent wizjonera, pła-

wiącego się w uczuciach bez busoli wewnętrznej. Długo niedoceny, ulega obecnie sprawiedliwszej ocenie.

**JOSEPH VON EICHENDORFF** (1788 — 1857), ur. na Śląsku, wzrosły w otoczeniu katolickim, studjuje w Heidelbergu, gdzie styka się z przywódcami romantyzmu; z czasem osiada w Berlinie i pełni tam urząd w pruskim ministerstwie wyznań. Pierwsze wydanie wierszy ukazuje się w r. 1837. Jest autorem szeregu nowel (najgłośniejsza „Z życia wałkonია“, 1826) i tłumaczem Calderona.

Eichendorff to największy i najczystszy liryk późnej romantyki. Z niewielu elementów złożone wiersze jego ewokują irracjonalną melodią czarodziejski pejzaż, roztapiają krajobraz w prostej i głębokiej atmosferze religijności.

**STEFAN GEORGE** (1868 — 1933), najwybitniejszy obok Rilke'go nowoczesny liryk niemiecki. Odnowiciel języka poetyckiego, wyłączny prawodawca formy, wskrzesiciel i twórca „mitów“, łączących w jedno elementy romańskie, sięgające Hohenstaufów, i germańskie. Czołowy przedstawiciel poetyki „moderny“ w Niemczech, wyborny tłumacz pokrewnych sobie poetów francuskich, włoskich, holenderskich, polskich wreszcie (W. Rolicz-Lieder). Niezrównany, nieco czczy wirtuoz i bałwochwalca słowa, rygorysta — jako wersyfikator i w równej mierze jako historjograf, zmierzający do odbudowania kultury wspartej na mitycznych pierwiastkach duchowych, artystycznych i plemiennych. Wiersze z „Das Jahr der Seele“, „Der Stern des Bundes“ oraz z innych zbiorów.

**FRIEDRICH HEBBEL** (1813 — 1863), wybitny dramaturg, prozaik i poeta.

**FRIEDRICH HÖLDERLIN** (1770 — 1843). Twórca wielkiej miary, wczesnie zamilkły, jedna z przełomowych postaci poezji



niemieckiej. Wiersz „Smętarz“ pisany w okresie zbliżającego się obłędu; stąd przejmująco naiwna i splątana jego forma składniowa.

LUDWIK H. CHR. HÖLTY (1740 — 1776), młodo zmarły, melancholijny nieco i sentymentalny elegik okresu „przedklasycznego“ poezji niemieckiej; uczestnik t. zw. „Hainbundu“ wraz z braćmi Stolberg i innymi pomniejszymi lirykami.

GOTTFRIED KELLER (1819 — 1890), Szwajcar, ur. w Zurychu, najtęższy epik niemiecki. Pierwsze wydanie wierszy w latach 1846 — 1851. Jest autorem dwóch powieści i lirycznych tomów nowel, z których czołowe słusznie uznano za klasyczne. Wybitny dar plastyki, jędrny humor, męski realizm znamionują tego wybitnego prozaika.

JUSTINIUS KERNER (1786—1862) wraz z Schwabem i Uhlandem należy do t. zw. „poetów szwabskich“. Natura marzyciela, skłonna do dopatrywania się znaczenia nadprzyrodzonego w zjawiskach pospolitych, szukająca go w zabobonach i wierzeniach gminu (słynna jego niegdyś książka, tłumaczona również na polski, „Jasnowidząca z Prevoſt“). Nikłe wiersze jego zachowały wdzięk i naturalność pieśni ludowych.

FRIEDRICH KLOPSTOCK (1724 — 1803), praojciec i „patriarcha“ niemieckiej poezji klasycznej, czczony przez młodego Goethego twórcą niemieckiej „ody“, wzorowanej na miarach antycznych, oraz poematu religijnego „Mesjasz“. Wielbiony niegdyś ponad wszelką miarę, nielicznych dzisiaj znajduje czytelników.

NIKOLAUS LENAU (1802 — 1850). Jest to pseudonim jednego z wybitniejszych liryków austriackich. Lenau to późny romantyk, miotany — w życiu i twórczości — „byronicznym“ niepokojem. Tragiczne i splątane koleje życia znajdują końcowe ujście w ob-

łędzie. Pospnie i proste wiersze jego zaleca po dziś dzień siła i naturalność wyrazu.

**DETLEV VON LILIENCRON** (1844 — 1909). Czołowy „impresjonista“ wśród liryków niemieckich. Twórca nowel, dramatów, poematów, a zwłaszcza wierszy, które ostrość rysunku i autentyczną malarskość widzenia nienagannie kojarzą z uczuciową atmosferą pejzażu.

**FRIEDRICH VON MATTHISSON** (1761 — 1831). Niepozbowiony wdzięku elegik. Przedstawiciel t. zw. „liryki księżycowej“

**CONRAD FERDINAND MEYER** (1825 — 1895), ur. w Zurychu, potomek rodziny patrycjuszowskiej o wysokiej kulturze. Pierwsze wydanie wierszy w r. 1882. Bardziej znany jako twórca licznych nowel o podkładzie historycznym, odznaczających się nienaganną dykcją i teatralną nieco plastyką biegle zestawionych fresków. Mimo pozornej jednolitości natura w istocie wielce skomplikowana — opanowanego nerwowca.

**RAINER MARIA RILKE** (1875 — 1926). Najgłębszy okresu nowoczesnego liryk niemiecki, przeciwny niejako biegun George'a. Wspaniałej tej i samotniczej twórczości — mającej liczne rozgąłżenia estetyczne i duchowe oraz istotne fljacje zarówno z kulturą Zachodu (Francja), jak Wschodu — niepodobna ująć w krótką formułę.

„Elegje Duinezyjskie“ są ostatnią książką Rilke'ego — ukoronowaniem zarazem wielkiej jego twórczości: tytuł wywodzi się z miejscowości Duino, gdzie poeta, przebywający w gości u siebie, rozpoczął swoje dzieło. Polski ich tytuł mógłby zatem brzemień także „Elegje z Duino“; tłumacz użył pierwszego wyrażenia, pragnąc zachować możliwą zgodność z oryginałem na wzór choćby „Elegij rzymskich“ Göthe'go. Książkę tę ukończył Rilke w lutym roku

1923 na zamku Muzot, w Szwajcarji, gdzie spędził ostatnie lata życia. Zmarł w grudniu roku 1926.

Tom dedykowany jest księżnie Marji von Thurn und Taxis-Hohenlohe. Przekładu dokonano przy współpracy Witolda Hulewicza. Niniejsze tłumaczenie jest poprawionym przedrukiem z wydania r. 1930.

„Orfeusz, Hermes, Eurydyka“      „Wierszy nowych“, reszta — z puścizny pośmiertnej.

JOHANN G. VON SALIS-SEEWIS (1762 — 1834), elegik szwajcarski, przyjaciel Matthissona, sentymentalny „miłośnik natury“

RUDOLF ALEKSANDER SCHRÖDER, ur. w Bremen (1878) i tam osiadły, wybitny poeta współczesny. Znakomity tłumacz Homera.

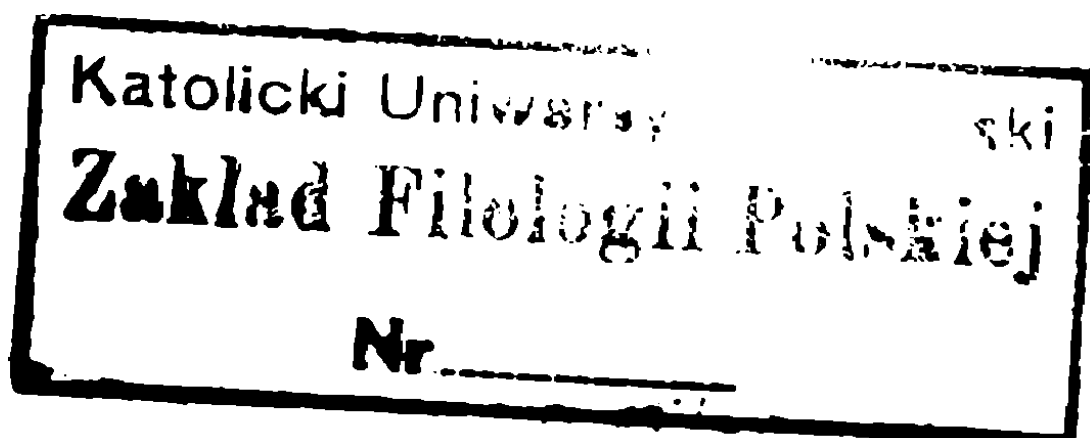
CARL SPITTELER (1845 — 1924), wybitny epik, z pochodzeni Szwajcar. Leureat Nobla.

THEODOR STORM (1817 — 1888), ur. w Niemczech Północnych, patrijota swej ojczystej prowincji, Szlezwigu Holsztynu, gdzie po r. 1864 obejmuje urząd „wójta“ (podobnie jak z czasem Liliencron). Pierwsze wydanie wierszy z r. 1852. Jest autorem licznych nowel (10 tomów); niektóre z nich po dziś dzień zachowały wdzięk skromnej, przeczulonej, staroświeckiej nieco świeżości. Liryka jego należy do „żelaznego kapitału“ niemieckiego piśmiennictwa i jeszcze ostatnio Tomasz Mann, hanzeata, nie odmówił jej powściągliwego uznania.

JOHANN WOLFGANG VON GOETHE (1749 — 1832). — „Monodramat“ zatytułowany „Prozerpina“ włączył z czasem twórca „Fausta“ do jednej ze swych licznych sztuk okolicznościowych i tem samem niesłusznie skazał na niepamięć; w przekładzie rzecz

uległa nieznacznym skrótom. Niedokończony „Elpenor“ pochodzi z lat osiemdziesiątych.

GEORG BÜCHNER (1813 — 1837), ur. w Darmstadtzie, studjuje w Strasburgu nauki przyrodnicze oraz filozofję (Kartezjusz i Spinoza). Płomienny rewolucjonista o potężnej inteligencji, agitator, ścigany przez policję księcia heskiego, umiera nagle, powalony gorączką, wynikłą z przypadkowej infekcji (w Zurychu, dokąd się schronił); młodzieniec, dotknięty piętnem genialności, pozostawia szereg arcydzieł, równie prekursorskich i zadziwiających, jak „Nieboska komedja“; są to: tragedia „Śmierć Dantona“ (spolszczenie W. Horzycy), „Wozzek“ (fragment dramatyczny, który pięknie tłumaczył Jerzy Liebert), „Lenz“ (niedokończona nowela) i „Leonce i Lena“, utwór, który może godziłoby się nazwać „komedją romantyczną“ z tem jednakże zastrzeżeniem, iż ironizuje formą swą gatunek artystyczny, jaki napozór ucieleśnia.



## SPIS RZECZY

v. ARNIM ACHIM	
Pokrzepienie	
BRENTANO CLEMENS	
Muzyka Beethovena	8
v. EICHENDORFF JOSEPH	
Nabożna Pieśń	9
Nocą	9
Noc księżycowa	10
Wezwanie	10
Po nocy	11
Samotność	11
Pożegnanie	12
GEORGE STEFAN	
Wywołany	14
Zapaśnik	14
Dzień pasterza	15
Bóstwa polnego żalność	16
* * * (Młodziutka ziemia...)	17
* * * (Duchu domowy...)	17
* * * (Na mieście cichem...)	18
* * * (Ogrodami szemrze szeptem...)	18
* * * (Powróciwszy z błogich krain...)	18
* * * (Jest Rozblaskiem...)	19
* * * (Młodość tobie spłynęła...)	19
* * * (Ktom ja, nie wiecie...)	20
HERBEL FRIEDRICH	
Pejzaż październikowy	21
Pieśń po nocy	21

HÖLDERLIN FRIEDRICH	
Smętarz	22
Chleb i wino	23
HÖLTY LUDWIG	
Zlecenie	24
KELLER GOTTFRIED	
Wieczór na Golgocie	25
KERNER JUSTINIUS	
Wędrowiec u tartaku	26
KLOPSTOCK FRIEDRICH	
Młodzieniec	27
LENAU NIKOLAUS	
Żałoba niebios	28
Sen	28
Piosenka z wieczora	29
v. LILIENCRON DETLEV	
Pejzaże	30
v. MATTHISSON FRIEDRICH	
Vaucluse	32
MEYER CONRAD FERDINAND	
Łyskanie	33
Szmery ponocne	33
Nawałnica	34
Zorza wieczorna w boru .	34
RILKE RAINER MARIA	
Orfeusz, Eurydyka, Hermes	35
Trylogja hiszpańska	38
Do Hölderlina	40
Zstąpienie Chrystusa do piekieł	41
Elegje Duinezyjskie:	
Elegja pierwsza	43
druga	46

Elegja trzecia	48
czwarta	51
piąta	54
szósta	57
siódma	59
ósma	62
dziewiąta	65
dziesiąta	67
<b>v. SALIS-SEEWIS JOHANN GAUDENZ</b>	
Tęsknota z wieczora	72
<b>SCHRÖDER RUDOLF ALEKSANDER</b>	
Oddźwięk	73
<b>SPITTELER CARL</b>	
Między Iljadą a Odyseją	74
<b>STORM THEODOR</b>	
* * * (Ocknął się miesiąc...)	76
Wielkanoc	76
<b>v. GOETHE WOLFGANG</b>	
Prozerpina	81
Elpenor (fragment tragedji)	89
<b>BÜCHNER GEORG</b>	
Leonce i Lena (komedja)	130







